

# PRZEGLĄD WILEŃSKI.

## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY: w Wilnie		REDAKCJA i ADMINISTRACJA Ś. Jerska 15 m. 26	CENY OGŁOSZEŃ:	
Rocznie . . . . .	7.00		Otwarte codziennie prócz świąt od 11 godziny do 4 pp.	Przed tekstem za wiersz petitu . . . . .
Półrocznie . . . . .	3.50	W tekście (nadesłane) . . . . .		1 rb.
Kwartalnie . . . . .	1.75	Skrzynka pocztowa № 52	Po tekście . . . . .	20 k.
Miesięcznie . . . . .	60			
Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu			Numer pojedynczy 15 kop.	
Rocznie . . . . .	8.—			
Półrocznie . . . . .	4.00			
Kwartalnie . . . . .	2.00			
Miesięcznie . . . . .	70			

## Godzina próby.

Na prastary Kijów zwrócone są obecnie oczy całego świata cywilizowanego. Proces o mord rytualny czyli tak zwana sprawa Bejlisa ma znaczenie wyjątkowe ze względu na tezę oskarżenia, która, mimo, iż przesądzona została przez wszystkie powagi naukowe i uznana za haniebną zabobon, dotychczas porusza umysły ludzkie, wywołując krańcowe roznamienienie.

Jako zagadnienie kulturalne, jako przeżytek niegodny społecznego rozwoju umysłowości ludzkiej, proces kijowski przykuć musiał do siebie uwagę tych wszystkich, komu postęp ludzkości nie jest obojętny i komu chodzi o tryumf myśli krytycznej nad barbarzyńskim instynktem. Stąd płynięto ogólne zainteresowanie, jakie towarzyszy zwykle doniosłym zjawiskom społecznym.

Ze swej strony żydzi uczynili wszystko, by nadać sprawie tej jaknajwiększy rozgłos. Trudno się im dziwić. Wszakże na ławie podsądnych w Kijowie, w osobie Bejlisa, zasiada całe społeczeństwo żydowskie.

Nie należy zapominać, że akt oskarżenia wyraźnie formułuje zarzut popełnienia przez Bejlisa morderstwa dla celów obrzędowych, religijnych. Skazanie więc podsądnego byłoby wyrokiem potępiającym — w oczach ciemnego tłumu — całego plemienia izraelskiego, wydaniem go na łup pogardy, wstrętu i nienawiści sfanatyzowanym masom chrześcijańskim. Uznanie winy Bejlisa stwierdzało by jednocześnie tak ohydne pierwiastki w religii mojżeszowej, że nie mogłaby ona nadal być tolerowaną i musiałaby ulec takiemuż prześladowaniu, jak rozmaite sekty zwyrodniałe lub nawet ludożerstwo.

Oczywiście są to konsekwencje logiczne, które nie zostaną zastosowane w praktyce. Blisko dwa tysiące lat pokutuje legenda o używaniu przez żydów krwi chrześcijańskiej do celów rytualnych. Setki spraw sądowych wynikły na tem tle, ani jeden proces jednak nie skończył się udowodnieniem istnienia mordów rytualnych.

Cały szereg papieży, głów koronowanych, instytucji państwowych i naukowych w różnych czasach

stwierdzał kategorycznie bezpodstawność legendy i stanowczo potępiał jej niedorzeczność. Orzeczenie dwunastu włościan i mieszczan kijowskich, jakiegokolwiek będzie, nie może mieć znaczenia zasadniczego. Będzie to głos przekonania wewnętrznego mało wykształconych obywateli w kwestji, która wymaga niezwyklej erudycji i specjalnych badań.

Rządy i instytucje prawodawcze nie mogą polegać, oczywiście, na kompetencji przypadkowego grona sędziów przysięgłych.

Nie potrzebują się też żydzi obawiać, w razie zasądzenia Bejlisa, daleko idących konsekwencji w postaci nowych ograniczeń i prześladowań. Obawiają się natomiast — i słusznie — innego skutku w którego przewidywaniu rozwinęli tak gorączkową akcję, nie cofając się przed żadnymi środkami, mogącymi wpłynąć na przebieg pomyślny procesu. Uznanie winy Bejlisa byłoby niewątpliwie iskrą, rzucaną na gromadzone oddawna palne materiały. Nastąpiłby wybuch straszliwy.

Gdy się zważy wszystkie okoliczności, towarzyszące w ciągu paru lat głośniejszej tej sprawie, widzi się wyraźnie, że od samego początku rosyjskie organizacje reakcyjne pracowały usilnie nad rozpowszechnieniem wersji o mordzie rytualnym. Aby nadać agitacji większe znaczenie została ona przeniesiona na trybunę Dumy Państwowej. Z inicjatywy Zamyśłowskiego, występującego obecnie w procesie w charakterze powoda cywilnego, prawica wniosła interpelację w kwestji zabójstwa rytualnego Juszczyńskiego. Dała ona sposobność Puriszkiewiczowi i Markowowi do wygłoszenia mów, będących jawnym nawoływaniem do pogromów. Interpelacja została odrzucona, niemniej reakcyoniści mieli możność rozwinięcia na szpaltach swych pism usilnej agitacji pogromowej. Związek Archanioła Michała i inne tego rodzaju organizacje wydały i rozpowszechniły w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy szereg pogromowych świstków.

W tej naelektryzowanej fanatyzmem atmosferze ma zapaść wyrok, który może stać się hasłem rozpętania najniższych instynktów w ciemnych masach, kształconych na literaturze poczajewskiej. A któż może przewidzieć, jak szerokie kręgi zatoczy fala kijowska? Zrozumiały więc jest niepokój żydów, po-



wszecne ich modły po synagogach i nerwowe zabiegi, które niejednokrotnie więcej im szkody przynoszą niż pożytku.

Ale nie tylko dzienniki żydowskie przywiązują wielką wagę do sprawy Bejlisa. Cała prasa rosyjska zajmuje się nią gorliwie, przyczem występują przeciwko sobie z wielką zaciętością dwa obozy: reakcyjny i opozycyjny. Świadczy to o doniosłym znaczeniu politycznym procesu. Postępowa koła rosyjskie rozumieją dobrze, że sprawa jest rozdmuchiwana nie tylko z pobudek antysemityzmu rasowego. Bejlisowi przeznaczyła reżyserja prawdziwie rosyjska odegrać rolę piorunochronu, mającego ściągnąć na siebie całą elektryczność, jaką są przepojone masy ludowe.

Niezadowolaniu z istniejącego stanu rzeczy, nurtującemu coraz silniej w społeczeństwie rosyjskiem i docierającemu coraz głębiej trzeba dać jakieś ujście. Skierować je na żydów — sposób najłatwiejszy i jak doświadczenie uczy, skuteczny i niezawodny. Nie dopuścić do takiego tryumfu reakcji stało się najważniejszym na dziś zadaniem opozycji. Walka nierówna, lecz nieraz już prawda i sprawiedliwość zwyciężały złe i ciemne moce, mimo pozorną ich potęgę.

W chwili tak krytycznej, wobec zaostrenia stosunków polsko-żydowskich, można się było obawiać, aby społeczeństwo polskie nie poszło za głosem nienawiści i nie utraciło równowagi, która je dotychczas w wypadkach podobnych cechowała. Na szczęście obawy okazały się płonnemi.

Zbyt wysokim jest poziom kulturalny społeczeństwa polskiego, zbyt silne są w nim tradycje humanitarne, by mogli wśród niego operować jawnie naśladowcy i duchowi sprzymierzeńcy Puriszkiewicza. Cała prasa polska zajęta wobec oskarżeń o mord rytualny stanowisko odporne i nieprzychylnie. Nawet najmniej kulturalny jej odłam z osławioną dwugroszówką warszawską na czele oparł się pokusie wyzyskania sposobności, by uderzyć mocniej w struny antysemityzmu.

Europa i postępową Rosją mogą się przekonać, co warte są skargi żydów na rzekomy ucisk i gwałty, jakich względem nich mają się dopuszczać polacy. Naród polski wszakże w ostatnich czasach został odmalowany przez oszczerców żydowskich jako

zgraja barbarzyńców, znęcająca się z okrucieństwem nad bezbronny ludem żydowskim, urządzająca pogromy i średniowieczne auto-da-fe. Najniedorzeczniejsze potwarze rozsiano na szpaltach liberalnych pism europejskich i rosyjskich w celu zozydzenia imienia polskiego w opinii świata cywilizowanego, a oto, gdy nadeszła godzina próby, gdy czynniki wpływowe w Rosji otwarcie pracują nad wytworzeniem nastroju pogromowego—tuż obok w Polsce rozlega się jedynie hasło unarodowienia handlu i przemysłu i protest przeciwko budowaniu Syonu nad Wisłą.

Zdarzają się wprawdzie wybryki karygodne na łamach pism polskich, po części usprawiedliwione tonem aroganckim rozmaitych żargonowców, akcja bojkotowa przybiera nieraz zbyt brutalne, walka z zalewem żydowskim w dziedzinie ekonomicznej najniepotrzebniej i bezmyślnie się przenosi w sferę życia kulturalnego—wszystkie te ekscesy jednak błędne i nikną wobec pierwszego lepszego artykułu „Ziemszczyzny“ a nawet „Nowoje Wriemia“. I mimo to ogół żydowski ciąży do Rosji, a ziele nienawiści ku Polsce. Czem można wytłomaczyć to niepojęte zaślepienie? Chyba doznany zawodem, pogrzebaniem nadziei utworzenia państwa żargonowego na ziemiach Rzeczypospolitej?

Mniejsza o to. Nie ubiega się naród polski o względy żydowskie. Jeżeli dziś jednomyślnie potępia aranżerów procesu kijowskiego, to czyni to bynajmniej nie w celu przypodobania się p. p. Żabotinskim, lecz wyłącznie dlatego, że widzi jasno potworne zakulisowe machinacje i że obce mu są przeżytki średniowiecza.

Bo tak każe mu sumienie.

L. A.

▷○○○○○○○○◁

## Na mylnej drodze.

Dla nikogo nie jest dziś tajemnicą, że stosunki ekonomiczne Litwy i Białejrusi w opłakanym znajdują się stanie. Kraj nasz, uchodzący za rolniczy, posiada gospodarkę rolną nie tylko nad wyraz prymitywną, ale—co znamiennejsze — brak

TADEUSZ DĄBROWSKI.

## Józef Korzeniowski.

(W pięćdziesiąt rocznicę zgonu).

Cicho i bez rozgłosu przechodzi pięćdziesiąt rocznica śmierci Józefa Korzeniowskiego. Mało kto stara się odnaleźć go, przypomnieć czytającej publiczności, zbliżyć do naszego widzenia. Nikomu nie przyszło na myśl, by odnowić stare, Lewentalowskie jeszcze wydanie pism zbiorowych tak poczytnego niedgdy pisarza i wetknąć je w ręce dzisiejszych.

Albowiem Korzeniowski nie był pisarzem, któryby porywał społeczeństwo całe, któryby wskazywał mu pragnął zasadnicze cele, wynajdywał drogowskazy, ustalać biegi jego przeznaczeń. Ambicja jego nie podążała temi górnemi szlaki. A przecież żył w czasie, w którym zrozumiałe było samo przez się, powszechnie było przyjęte, iż pisarz, poeta, to wieszcz, skupiający w sobie odczuwania i dążności jeśli nie

ludzkości całej, to przynajmniej swego narodu i swego pokolenia.

Był Korzeniowski rówieśnikiem niemal Mickiewicza. Urodził się wcześniej nawet, w 1797 r. Był prawie rówieśnikiem młodszych odeń Słowackiego Juljusza i Zygmunta Krasińskiego. Za towarzysów szkolnych w krzemienieckiej szkole miał zapalonych romantyków: Stefana Witwickiego, Tymona Zaborowskiego, Karola Sienkiewicza. Przeszli oni wcześniej stadium żąbkowania poetyckiego i hasali od młodego wieku na romantycznym koniku. Czytywali twory romantyków francuskich czy angielskich, zachwycali się niemi i przyswajali je ojczystej mowie. Chateaubrianda „René“, melancholji pełen pesymista, zasadniczo nie zdolny do życia, mający dla wszelkich objawów życiowych tylko niechętny giest znużenia; płomienny buntownik i szyderca Byron, drwiący ze społeczeństwa, z jego konwenansów moralnych i banalnych wierzeń: to były ideały, na które zapatrywało się z podziwem i na których układano czulą młodzieńczą duszę. Korzeniowski jednak do pokolenia tego już nie należał.

Rzecz dziwna: pisarz ten ominął w rozwoju swym duchowym cały jeden okres naszej literackiej



mu już własnych ziemiopłodów na wyżywienie ludności miejscowej. Zamiast eksportować zboże—musimy je sprowadzać.

Dowodzi to całkowitego zastoju kultury, zastoju chorobliwego, grożącego nie dającymi się przewidzieć klęskami. Minimum postępu wymaga pewnej stałej równorzędności między wzrostem produkcji i wzrostem załudnienia kraju. Jeżeli dany kraj nie posiada warunków dla podnoszenia swej wytwórczości rolnej—t. j. dostarczania w potrzebnej ilości chleba swym mieszkańcom—winien produkować cośkolwiek innego (np. rozwinać przemysł fabryczny lub rękodzielniczy) i towar swój wymieniać na środki spożywcze.

My jednak nie mamy nic do wymiany. W każdym razie—prawie nic. Jedyne eksport—to drzewo, którego przy obecnej gospodarce rabunkowej z każdym rokiem ubywa. Przepisy o ochronie lasów w małym stopniu tylko mogą na to poradzić.

W tem rozpaczliwym położeniu znalazł się wszakże jeden „towar na wywóz“. Towarem tym są—ręce robocze. Emigracja ludu wzrasta z roku na rok, wywołując małoduszne wyrzekania niedołączonych ziemiankich, którzy w zjawisku tem nie widzą żywiołowej konieczności, ale jakiś dziwaczny kaprys rozzuchwalonego wolnością chłopstwa. Przy pomocy mdłych kazań, bezsilnych strachów, wreszcie prób o represje policyjne, pragną obywatele nasi wstrzymać falę wychodźstwa, nie rozumiejąc, że gdyby zabiegi ich osiągnęły skutek, zapanowałaby w kraju niedza ostateczna.

Emigracja jest przeciw niej środkiem, który lud instynktownie wynalazł. Jest to kłapa bezpieczeństwa, usuwająca lub przynajmniej odsuwająca kataklizmy ekonomiczne.

Ale kraj, który za otrzymane od obcych chlebać może tylko takim towarem wymiennym, jak surowa siła robocza, znajduje się już właściwie u kresu ubóstwa. Znaczący to bowiem, że wyjść on nie może z pewnego przeczytego stadjum gospodarki i niezdolny jest do dalszego życia samodzielnego na stopie kulturalnej.

Jedyna pociecha, że zaczynamy zdawać sobie z tego sprawę i szukać ratunku.

Ogół wprawdzie orjentuje się w sytuacji mgli-

sto, dróg szuka omackiem, ale — bądź co bądź — otrząsa się stopniowo z bezwładu. To już coś znaczy.

Zwłaszcza pocieszający jest fakt uznania konieczności dopomożenia masom włościańskim, by dźwignęły się z obecnego bezradnego zastoju. Doniosłości przejawu tego nie zmniejszają bynajmniej bezpośrednie, właściwe pobudki dążeń ziemiaństwa. Pobudki te są, wiadomo, przede wszystkim egoistyczne, chociaż w wielu razach nieświadome. Chodzi o zatrzymanie na miejscu robotnika i pouczenie go, że mimo niskich płac żyć może, byle zechciał nie marnować wolnego czasu.

Szukając po omacku dróg polepszenia obecnego stanu ekonomicznego, społeczeństwo zwróciło uwagę na drobny przemysł włościański. Urządzona wystawa powiększyła jeszcze bardziej ogólne zainteresowanie i dała sposobność do budowania rozmaitych planów ekonomicznego odrodzenia kraju. Słysz się dziś głosy, a nawet czytują się artykuły, doradzające kultywowanie rękodzielnicstwa ludowego.

Nawoływanie w zasadzie słuszne. Należy jednak pamiętać, że nasze stosunki nie pozwalają przeceniać skuteczności rozwoju tego rodzaju pracy.

A do takiego przeceniania jesteśmy skłonni z tego powodu, że nam się nasuwa bliski przykład Rosji rdzennej, gdzie wyroby włościańskie (czyli t. zw. *kustarnyj promysiel*) ogromnie są rozpowszechnione.

Pytanie tylko, czy Rosja rdzenna w danym wypadku może być dla kraju naszego właściwym wzorem?

Wystarczy trochę zastanowienia, by nabrać co do tego poważnych wątpliwości.

Rosja posiada 10 mil. „kustarej“ przy 1 milionie rzemieślników. Stosunek to w Europie wyjątkowy. Świadczy on, że życie ekonomiczne Rosji znajduje się na wczesnym, wcześniejszym niż nasze, stopniu rozwoju. Tenże stosunek odpowiada zresztą w zupełności małej liczbie miast, a co zatem idzie—prymitywnej specjalizacji pracy. Można by powiedzieć, że Rosja nie dosięgła jeszcze stadjum, w którym Europa posiadała rzemiosło

twórczości. Gdy jako dziewiętnastoletni młodzieniec rozpoczynał pisarski zawód, pisał w stylu tak patetycznym, tak wzniosłym, jak najprzedniejsi dygnitarze cywilni czy wojskowi, a zarazem koryfeusze literatury polskiej, jak pisał Ludwik OSIŃSKI, Franciszek WĘŻYK czy Kajetan KOZMIAN. „Oda na rok 1815“, „Oda do pióra“ i t. p. nazywały się napuszone owe utwory, budowane z zastosowaniem wszelkich prawideł retorycznych i niejednokrotnie we wzniosłości swoich wyrażań budzące lekki uśmiech czytelnika. „O górności“, „o patetyczności“ brzmiały też imponująco pseudoklasyczne estetyczne rozprawy młodego autora, szpikowane obficie przytoczeniami z Horacego, Longina, Homera i Wergilego, czy z Corneille'a, Racine'a i Voltaire'a. Było to zgoła jak u młodego Mickiewicza.

I jak u młodego Mickiewicza zdarzają się w onych czasach u Korzeniowskiego wiersze czułe, sentymentalne, zakrawające na romansy, napojone zbyt obficie łzami. „Światelko“, „Ernestyna“, „Drzewko złamane“, „Ostatnia praca“, „Tren Omnii na dolinie Beder“, taki sam mają koloryt, budowę, rytm wiersza, tak samo skargi pełnymi monologami są przeładowane, jak Mickiewiczowski „Kurhanek Ma-

ryli“ czy „Rybka“. Były wszelkie dane, wskazujące na to, iż Korzeniowski, równie jak rówieśnicy, pójdzie do klasycyzmu drogami „czułości“, że cierpieć będzie za siebie, za drugich, za nieszczęśliwych kochanków, za katowany naród, za znużoną szarżką codziennego istnienia ludzkość, że będzie głosił prawa serca, uczucia wobec społeczeństwa i praw jego, wobec porządku wyższego, przedustanowionego w wszechświecie, że będzie gromił więzy, uciskające jednostkę, a miotał buńczucznie prawa indywidualizmu, że nawet może, jak Mickiewicz w chwili najwyższego uniesienia nie cofnie się przed bluźnierstwem, ciśnięciem śmiało Bogu — w imię serca. Lecz w tym właśnie czasie, gdy najwyższy ferment dokonywał się pośród romantyków naszych, gdy wychowywali się i na widownię publicznych wpływali młodzi entuzjaści, Korzeniowski pisał jeszcze bardzo mało, wystąpił zaś już wtedy, gdy i zagranicą kierunek upodobań literackich zmieniać się począł i gdy pojawiać się zaczęły nowe przedmioty zajęcia. Z tym nowym prądem literackim żeglował wśród grupy innych, którzy później powyrastali, także Józef Korzeniowski.

Przeszła po nim bez śladu cała fala, która wydała namiętne „Dziady“ Mickiewicza, która wyniosła







wa. „Inteligencja—pisze Sorel—nie są to, jak się zazwyczaj mówi, ludzie, którzy myślą. Są to ludzie, uprawiający zawód myślenia i pobierający arystokratyczną płacę z tytułu szczytności tej profesji“. I istotnie inteligencja, tak ciasno pojęta, — to warstwa uprzywilejowana i z przywileju czerpiąca soki do życia. Nie tylko poszczególne zawody, jak medycyna, prawo, technika, nie tylko kapłaństwo, lecz i nauka czysta, sztuka i filozofja—są po dzień dzisiejszy udziałem przywileju. „Filozofja—powiada Paulsen—oddawna uchodzi w Niemczech za wiedzę, przeznaczoną dla szczupłego grona wjaemniczonych“. A przecież myśl, jak to słusznie zaznacza J. Grote, profesor uniwersytetu w Cambridge, „to nie jest rzeczą zawodu, to nie jest coś tylko dla tak zwanych filozofów, albo dla myślicieli zawodowych. Najlepszy filozof—to człowiek, który potrafi myśleć najbardziej po prostu (nie po prostaku! *Wi—skt*)... filozofja to nic więcej, tylko myśl zdrowa i metodyczna“. \*)

To samo można dziś powiedzieć o inteligencji. W dobie pracy, demokratyzacji społeczeństw ludzkich, pędu do oświaty szerszych mas ludu pracującego, a więc najbezpośredniej związanego z życiem społecznym,—inteligencja, to jest zdolność zdawania sobie sprawy ze stosunku jednostki do otaczających ją zjawisk we wszechświecie i do społeczeństwa oraz—na zasadzie tego stosunku—budowanie życia, przestaje być już własnością wyłączną ludzi, posiadających dyplomy naukowe. Nie dość tego, zdolność ta w naszych czasach przesuwana się stopniowo w dół do świadomych swych zadań i mających wolę ich przeprowadzania ludzi pracy wytwórczej. Tam, a nie w zacisznych i wygodnych gabinetach inteligienckich tworzą się nowe normy życia. Potężne trade-uniony angielskie, ogromne związki zawodowe robotników niemieckich, niezliczone spółki włościańskie Danji, Belgji, Finlandji — większe mają znaczenie dla wszechstronnej ewolucji życia, niż najlepiej pomyślane systematy uczonych. W warunkach życia społecznego proces specjalizacji zawodowej robi tak wielkie postępy, że wykształcenie szkół wyższych urabia tylko zawodowców, dobrych techników, han-

\*) „Filozofja Wszechświata“ W. Jamesa.

dlowców, lekarzy, prawników, chemików, lecz nie więcej. Nie wyrabia ono światopoglądu, nie przygotowuje do obowiązków obywatelskich, a więc—nie stwarza inteligencji. Zaliczanie się gremjalnie zawodowców wszelkich do inteligencji opiera się przeto na normach przestarzałych, na przywileju i nie odpowiada rzeczywistości.

Pozatem pięte Achillesową inteligencji zawodowej stanowi jej zależność od kapitału nie tylko materialna, lecz i duchowa, psychologiczna. Odcina ją ona od mas wytwórczych, rodzi bezwład, rozdwojenie wewnętrzne, brak odległych perspektyw.

Wszystkie te cechy—w skali powiększonej—obserwujemy w dobie obecnej, która jest przełomowa dla nowego społeczeństwa, wśród t. zw. inteligencji polskiej w zaborze rosyjskim.

Wówczas, gdy na Zachodzie proces rozwoju przywołał już dawno do życia liczne siły ludowe i stworzył kadry inteligencji spośród ludzi pracy wytwórczej, u nas—z powodu warunków zewnętrznych, hamujących naturalną ewolucję społeczeństwa, szeregi t. zw. inteligencji są nadal zamknięte w ramach patentów i przywilejów, a inteligencja ludowa rekrutuje się z jednostek. Snadziej robimy wyjątek i zaliczamy do inteligencji człowieka, którego jedyną wartością jest nienagannie skrojone ubranie, lub „dobre“ maniery, niż—nauczyciela ludowego, światłego robotnika, włościanina.

Pod względem społecznym — w ciągu ostatnich lat 60-ciu skład inteligencji zawodowej niewielkiej uległ zmianie. Więcej, niż połowa (licząc skromnie) zawodowców naszych rekrutuje się z ludzi szlacheckiego pochodzenia. Mniejszość zaś nieszlachecka należy w znacznej większości do ludzi pochodzenia niemieckiego, lub żydowskiego. Odsetek mieszczan i włościan wśród inteligencji Królestwa jest znikomy. Pod tym względem znacznie dalej posunięta jest Galicja (ta osławiona, szlachecka Galicja). I jest to zrozumiałe. Wobec braku szkół ludowych, wobec niskiego poziomu oświaty i ograniczonej od roku 1905 ilości szkół średnich — wrota do wyższego wykształcenia dla dzieci biednych mieszczan i włościan były szczelnie zam-

powściągliwy w swoich uczuciach, oraz w sposobie ich wyrażania. Zapewne nie mało zaważyła na tem niemiecka krew matki, która flegmatyczne usposobienie poety wytworzyła. Żoną jego również Niemka była, z rodziny w Warszawie osiadłej. Nie miał żadnych przejść nadzwyczajnych, awanturnicznych w swym życiu. Nie dał się wciągnąć w wir politycznej agitacji, jak większość naszych twórców ówczesnych. Nie musiał dzielić z nimi wychodźstwa, nie czuł się oddartym od ziemi, nie potrzebował tęsknić za ojczyzną nadaremnie. Nie był skazanym na nerwowe poczucie, że jest ptakiem przelotnym, rzucającym burzą i nawałnicami w różne światła strony. Ten nerwowy niepokój przecież znamionował całą emigracyjną literaturę polską.

Życie Korzeniowskiego, z wyjątkiem drobnych trosk przygodnych, upływało tokiem spokojnym. Syn szlacheckiej rodziny z okolicy Brodów w Galicji, oddany na wychowanie do podolskiego Krzemieńca, zrósłszy się serdecznymi węzły z atmosferą tej wzorowej uczelni, po kilku latach spędzonych w roli wychowawcy młodego Krasieńskiego Zygmunta, (którą przerwał wkrótce ze względu na nerwowość pani Krasieńskiej), oraz w roli bibliotekarza u Zamojskich,

wraca znowu do Krzemieńca, już jako profesor. W dalszym ciągu profesor filologii klasycznej czy polskiej literatury na uniwersytecie Kijowskim (póki katedry tej nie zniesiono), dyrektor gimnazjum w Charkowie i Warszawie, wizytator szkół Królestwa, wreszcie za zakrojonej na szeroką skalę działalności margrabiego Wielopolskiego pomocnik jego w organizowaniu polskiego szkolnictwa, jako dyrektor wydziału oświecenia, nigdy wydany nie był na burzliwe powiewy losu. Zaznajomiony dokładnie z zagranicznym ruchem literackim społecznym, mając w rozlicznych swych wyjazdach ustawiczną sposobność obserwacji, wysubtelniał swoją wrażliwość i zwolna od historycznych dramatów najczęściej, pisanych z odcieniem patosu w rodzaju Wiktora Hugo, czy Aleksandra Dumasa, przechodził coraz stanowczej do powieści realistycznej lub obyczajowej komedji. Wszystko czynił na chłodno, panując nad swoimi wzruszeniami wywieszoną rozważą. Refleksja też a nie uczuciowość w przeciwstawieniu do społecznym mu romantyków, stanowią zasadniczą cechę pisarskiej jego twórczości.

Nie miał nawet możliwości, jak ogół romantyków, skarżyć się na szary tłum czytelników pospoli-



knęte. Do gimnazjów rządowych mogli dostać się tylko synowie urzędników, ziemian zamożnych i inteligencji zawodowej. Demokratyzacja społeczeństwa w Królestwie posuwała się krokiem zółwim. I niewiele mogły pomóc gromy, rzucane na szlachetczyznę z łamów „Przeglądu Tygodniowego”, „Prawdy”, „Głosu” — tam, gdzie sama struktura społeczna nie ulegała głębszej zmianie, gdzie elementy ludowe pozostawały nadal w mroku ciemnoty, a szeregi inteligencji rekrutowały się z warstwy, która przechodziła wprawdzie silne wstrząśnienia polityczne i ekonomiczne, lecz nie zmieniła się społecznie. Wstrząśnienia te mogłyby oddziaływać na inteligencję tylko wówczas, gdyby w miastach, do których los rozbitków szlacheckich wyrzucił, napotykały mającą już własną fizjognomię duchową—liczną i silną warstwę mieszczańską. U nas nic podobnego nie miało miejsca. Mieszczanstwo polskie było nieliczne i słabe. Poważniejszy żywioł w miastach stanowili Niemcy i Żydzi. Wprawdzie pierwsi polonizowali się szybko, lecz był to dopiero proces polonizacji, nie mieli więc ani wyraźnego oblicza, ani kultury mieszczańskiej polskiej. Żydzi zaś stanowili naogół masę odrębną i izolowaną. Rozbitki szlacheckie siłą rzeczy, mimo swej słabości ekonomicznej i niezadarności, nadawały miastom wyraz, urabiały ich psychikę. I młoda inteligencja polska, wychodząca przeważnie ze wsi, lub spośród tych rozbitków, wносиła w życie, pomimo pewnego pokostu demokratycznego, całą gotową psychologję szlachecką, opartą na przywilejach i wyłączności. Nieliczna zaś inteligencja mieszczańska ulegała jej wpływom i szła za nią.

W tych warunkach hasła pracy organicznej i demokratycznego pozytywizmu niewielkiej mogły dokonać w ciągu lat kilkudziesięciu w szeregach naszej inteligencji—przemiany.

Do pracy w handlu i przemyśle nie wielu się kwapiło, pomimo zachęty powieściopisarzy i powieściopisarek, idealizujących kupców, chemików, inżynierów. Młodzież jeśli nawet wstępowała na drogę przemysłu, to przyświecała jej zawsze nadzieja porzucenia z czasem nieodpowiedniego zawodu i powrotu na rolę. Stosunkowo największe

względy znalazł zawód inżyniera, który, zwłaszcza w czasach dawniejszych, zapewniał władzę i dostatek. Do łokcia zaś i miarki wstręt dawny pozostał. Nic też dziwnego, że placówki te zostały zajęte prawie wyłącznie przez Żydów. Wokulscy nie mieli licznych naśladowców.

Najpełniejszym wyrazem psychologii społecznej starszego pokolenia naszej inteligencji — jest Sienkiewicz. Gdy przemówił bajecznie kolorowo, gdy rzucił szereg pięknych obrazów przeszłości bezpowrotnej, lecz tak barwnej, tak bezstronnej, tak swojskiej, prysnął wpływ pajęczymu pozytywizmu społecznego. Przemówiła krew, tradycja. A Polaniecy porzucili strzępy szat demokratycznych, odświętnych. Po dawnemu, po staremu poczuła się t. sw. inteligencja jedną wielką rodziną, naród obejmującą. I poczęła się śmieszna, bo spóźniona maskarada szlachecka. Unarodowieni Bigiele, by nie stracić łączności z „narodem”, poszukiwali paranteli, oblegali „Kurjerki”, by im dostarczyły wodów szlachectwa, a, gdy to się nie udawało, nobilitowali się sami. Dziś jest ciężkie i twarde, jutro mrok całunem okrywa, a więc, jak straceńcy, oblekali się inteligenci w szaty barwne przeszłości i w tych dziecinnych, obłąkańczych dekoracjach szukali zapomnienia.

Nie dopisywała im tylko towarzystwa inteligencja żydowska, wierna i nadal pozytywizmowi, bo w żaden sposób paranteli wśród bohaterów „Trylogji” znaleźć nie mogła.

Życie jednak płynęło. Na arenę życia wstępowało nowe pokolenie. Budził się duch protestu przeciwko szarzyźnie życia i taniej maskaradzie narodowej. Przemówiła Młoda Polska. A Potocki w swej „Polskiej Literaturze Współczesnej”—okres ten nazywa „Kultem jednostki”. I słusznie. Bo jakkolwiek twórczość Młodej Polski szła w różnych kierunkach, z różnych płynęła założeń i obejmowała te prądy od skrajnego indywidualizmu kultu „sztuki dla sztuki”—aż do społeczeństwa, apostołstwa społecznego, to jednak nie była ona wyrazem zbiorowości, lecz indywidualnych wysiłków. Wywołała ona ferment w inteligencji, skłóciła ją, skotłowała, pobudziła do więcej intensywnego ducha, nie wzmocniła woli. A przyczyny tego tkwiły

tych, niezdolnych odczuć głębin duszy wieszca. Było to w jego czasach zwyczajne. Entuzjaści w rodzaju Zmorskiego, Żmichowskiej Narcyzy, czy Ryszarda Berwińskiego ostro odcinali się od przeciętnej masy społeczeństwa. Poeta niezrozumiany błakał się po świecie, zapatrzony w górne gwiazdy. Natrętna zgraja „fabrykantów” starała się go sprowadzić na ten ziemski padół, uczynić zeń stworzenie pożyteczne, zamiast pozwalać mu bezkarnie bujać w nadobłocznych sferach. Odróżniali się strojem ekscentrycznym, zwracali na siebie uwagę dziwacznym sposobem swego zachowania się, głosili odrębne prawa dusz wybranych, wszystko na to, by dowieść swej wyższości nad przeciętnych śmiertelników. Cyganerka artystyczna, giest szeroki przy hiszpańskim płaszczu, jak w Calderona dramatach, przy szerokim rondzie u kapelusza, włożonego na bujne sploty włosów, na pierwszy rzut oka przeciętnemu okazowi homo sapiens dawały poznać wrącego uczuciem artystę. Jakże stanowczy kontrast do typu tego stanowi spokojna, sarkastyczna nieco w układzie fałdów twarzy, krótko ostrzyżona i wygolona dokładnie z wyjątkiem bocznych przyszytych faworytów zimno patrząca z poza okularów na świat głowa Korzeniowskiego Józefa.

Miał Korzeniowski powodzenie znaczne u czytelników. Wystawiano utwory jego dramatyczne w teatrach warszawskim i lwowskim, przekładano go na niemiecki język i grano w teatrze niemieckim we Lwowie, nawet krytycy niemieccy szacunku pełne miejsce przyznawali mu w literackiej dziedzinie. Jeśli więc na co skarżyć mu się przychodziło, to tylko niekiedy na polską krytykę, zjadliwie kłusującą jego dzieła, chociaż z niezupełną słusnością. Były te ataki wywołane odrębnym stanowiskiem Korzeniowskiego w stosunku do owej entuzjazmującej się literatury. Gdy taka znaczna osobistość jak Józef Ignacy Krąszewski nawet dawała się porwać ogólnemu prądowi, gdy w „Powieści bez tytułu”, czy w „Poeta i świat” przepaść między artystą a nierozumnym motłochem potwierdzał, Korzeniowski trzeźwo rozprawił o powołaniu, o zadaniach i trudnościach artystycznego zawodu. Daleki był od idealistycznych w estetyce uniesień, daleki od przyznawania artystom w społeczeństwie wyjątkowych jakichś uprzywilejowań. Wiedział dobrze, iż trud to jest niemały, potrzebujący takich samych przygotowań, jak wszelki inny zawód.



w samym charakterze twórczości „Młodej Polski“, w jej istocie i treści.

Wyspiański i Żeromski, pomimo gienjuszu, pomimo całego krytycyzmu względem społeczeństwa szlacheckiego, byli bądź co bądź z urodzenia, wychowania i najtajniejszego wnętrza psychiki—szlachtą i tylko szlachtą. Kochali lud, lecz nie znali, chcieli widzieć w nim przyszłość narodu, lecz nie znajdowali doń drogi. Stąd—sceptycyzm, stąd zwątpienie, stąd gorycz, stąd brak wiary głębokiej i płynącej z niej woli. Kasprowicz i Przybyszewski — wyszli z ludu. Zdawałoby się więc, że ci pisarze winni byli wnieść nie tylko do literatury, lecz i do życia żywioł nowy, twórczy. Niestety, rzeczywistość polska, i nie tylko polska, jest tego rodzaju, że gienjusze ludowi, by przemóc, muszą wyjść z ludu. Gdy zaś raz zeń wyjdą, związek wszelki, bezpośredni zostaje zerwany na zawsze. (Wyjątek stanowi Orkan). To też Kasprowicz szukał ujścia dla swego gienjuszu w głębokiej i pełnej ludowych cech—metafizyce, Przybyszewski—w odwiecznym problemacie stosunku płci.

Pomimo wpływu Młodej Polski, stosunek t. zw. inteligencji dojrzałego pokolenia do ludu jest i nadal naogół „romantyczny“, t. j. uczuciowy. Inteligencja pragnęłaby bardzo, by lud siedzi za nią, by przejmował się podawany przez nią dorobek kultury narodowej, by jej ufał. Łatwo się entuzjazmuje do poszczególnych objawów psychiki ludowej, lecz jeszcze łatwiej wpada w zwątpienie, gdy życie twarde przekonywuje ją, że lud ten nie jest takim, jakim w każdym oddzielnym wypadku widzieć by go chciała. A wypływa to stąd, że nie rozumie ona do głębi życia mas, ich potrzeb, że pragnie wtłaczać je w takie lub inne gotowe formułki.

(C. d. n.).

▷○○○○○○○○◁

Wi-ski.

## Uniwersytety a wolne szkoły w Galicji.

### I.

Uniwersytety polskie w Galicji zwracają na siebie większą uwagę polskiego społeczeństwa, niż kiedykolwiek przedtem, co jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, już choćby ze względu, że tam po roku 1905 skierowała się fala szukającej wiedzy młodzieży polskiej, dotąd duszącej się w okropnej atmosferze uniwersytetu warszawskiego. Młodzieniec wybierając się na studia do Krakowa lub Lwowa, obiecuje sobie na przyszłość bardzo wiele przeżyć podniosłych i niezwykłych w tych przybytkach wiedzy, podawanej w języku ojczystym. Już sama Galicja sprawia wrażenie na człowieku, zupełnie nieprzywykłym do form życia konstytucyjnego, i choć ta konstytucyjność mocno kuleje w tym kraju starostów i kielbasy wyborczej, zawsze jednak poczucie bezpieczeństwa osobistego musi każdego dodatnio usposabiać. Cóż dopiero mówić o uniwersytetach?

W państwie austriackim uniwersytety nie są tak, jak w Rosji, barometrem opinii publicznej. Życie polityczne koncentruje się gdzieindziej; studenci w walkę polityczną mniej są wciągnięci i jeśli od czasu do czasu słyszymy o zajściach na którym z uniwersytetów austriackich, to prawie zawsze stwierdzić można, że powstało ono na tle

lokalnym, uniwersyteckim, a nie ogólno-politycznym. Jeśli nawet często dochodzi do starcia na tle antagonizmów narodowościowych, to rzadko kiedy zajście podobne bywa ściśle związane z jakimś problemem narodowym, domagającym się rozwiązania w państwie; częściej mamy tu do czynienia z żywiołowym objawem nienawiści rasowej czy plemiennej.

Jeśli mowa o uniwersytetach polskich w Galicji, to oczywiście antagonizm narodowościowy i to w bardzo ostrej formie przejawiać się może jedynie we Lwowie, gdzie studenci endecy z ukraińcami rozbijają sobie systematycznie głowy nawzajem, wytwarzając atmosferę, pracy naukowej niekoniecznie sprzyjającą. W jednojęzycznym Krakowie o czemś podobnym mowy być nie może. I tu jednak spokój od czasu do czasu bywa zakłócany, lecz z zupełną innością względów. Uniwersytet krakowski stał się widownią nie walki o wolność polityczną, jest wiele uniwersytetów rosyjskich, nie walki o hegiemonję narodową, jak w różnojęzycznych krajach państwa Habsburgów, lecz innej walki, uzasadnionej w całej Austrii, a w Krakowie bardziej może, niż gdzieindziej: walki z klerykalizmem.

Rządzące w Austrii i bardzo wpływowe stronnictwo chrześcijańsko-społeczne już 6 lat temu rzuciło przez usta zmarłego Luegera hasło opanowania uniwersytetów i podboju ich przez katolicyzm wojujący. Skutki tej uchwały dały się niedługo zauważyć. Już w roku 1908 w Innsbrucku rozpoczęto walkę z prof. Wahrmundem, usuwając go z katedry za szerzenie wolnomyślnych poglądów, od tej pory zaś poczynszy, wszystkie uniwersytety w państwie austriackim są co pewien czas widownią zatargów na tle dążeń klerykalnych do supremacji.

Dążenia te najbardziej są widoczne w Krakowie, który i dotąd jeszcze, choć wiele się zmieniło od tego czasu, gdy Stanisław hr. Tarnowski kierował niepodzielnie opinią publiczną, uchodzi słusznie za twierdzą klerykalizmu. Kraków — to przecież najwierniejsza na całym świecie parafja Rzymu, jak się wyrażał następca kardynała Puzyry na Krakowskim biskupim tronie. Księża nie chcą wypuszczać z rąk rządów nad duszami, i gdy po 1905 roku napłynęła do uniwersytetu Jagiellońskiego fala młodzieży z za kordonu, wrogo usposobiona względem zakusów teokratycznych, wzięli się energicznie do akcji przeciwdziałającej. Z tej to pory datuje niefortunny projekt utworzenia katedry nauk chrześcijańsko-społecznych i powołanie na nią znanego politycznego działacza z Wielkopolski, ks. Zimmermana. Dziś walka przyćmiała nieco, ale zmaganie się dwóch prądów prądów jest widoczne. Wiele epizodów tej walki notuje kronika uniwersytecka. Nawet prof. Piekosiński, wybitny konserwatysta, miał niegdyś z powodu swych wykładów zatarg z biskupem. O wygryzieniu Baudouina de Courtenay, o nagance na Bujwida również przechowała się tradycja w murach uniwersyteckich.

Dziś byłoby nie tak łatwo usunąć nieprawomyślnego profesora, już chociażby ze względu na opinię młodzieży, która mimo przestarzałej ustawy uniwersyteckiej z czasów ery Bacha, zabiera głos coraz dobitniej na wiecach i zgromadzeniach. Zato widzimy stosowanie innej metody, mającej doprowadzić do tych samych rezultatów. Metoda ta polega na ostrożności w obsadzaniu katedr i uzależnianiu habilitacji młodych sił naukowych od ich politycznych i religijnych przekonań. I na Za-



chodzi istnieje pewna cenzura, choć tam, bądź co bądź, większą zwracają uwagę na wartość naukową kandydata. I tam rzadko się zdarza, aby np. zwolennika teorii Marksa dopuszczono do wykładania ekonomii politycznej; w Galicji jednak byłoby to wręcz niemożliwym. O krakowskim uniwersytecie ukuto kiedyś dowcip, że katedry tam są dziedziczne. I rzeczywiście wiele tam jest nepotyzmu; zbyt często przechodzi katedra z ojca na syna, nie dorównującego talentem ojcu. Największą zaś jest plagą trzymanie wielu katedr przez starych rutynistów, którzy w żaden sposób nie chcą się godzić na habilitowanie młodych sił naukowych w dziedzinie swego przedmiotu, snąc w przewidywaniu, że wtedy młodzież, zamiast nich, będzie wolała słuchać młodych docentów.

O ile w uniwersytecie krakowskim zwraca się pilną uwagę na stosunek profesora do katolicyzmu, to we lwowskim istnieje jeden tylko sprawdzian: zgodność z poglądami narodowej demokracji. Tam już dzieje się wszystko bez obsłonek, czego dowodem chociażby niedopuszczenie dr. Rudzkiego do habilitacji z powodu jego radykalnych poglądów politycznych, z czym się nawet nie tajono (dowodem sprawa honorowa, której bohaterami byli trzech lublinianie: Rudzki—Biernacki—Malewski). Narodowa demokracja uważa uniwersytet lwowski za swój folwark i zazdrośnie pilnuje tam swojej przewagi, nawet wyłączności. Rozpolitykowanie profesorów lwowskich doprowadza do tego, że wiele katedr, nominalnie obsadzonych stoi faktycznie pustkami, bo panowie profesorowie dają się wybierać do parlamentu i sejmu, i w Wiedniu cały czas spędzają, a jeśli do Lwowa zjeżdżają na gościnne występy, to tylko jako aranżerowie burd ulicznych. Profesor, krocący na czeluchoch z grubą pałką i wydający ulicznej gawiedzi hasło tłuczenia szyb, to zwykle zjawisko na ulicach Lwowa. I w takiej atmosferze ma się rozwijać czysta nauka!

Wszystkie te braki obu uniwersytetów galicyjskich są bardzo poważne, na pierwszym jednak miejscu postawić należy jeden, wspólny im obu—obawa przed ideją w nauce. Oba uniwersytety—krakowski zwłaszcza—posiadają niewątpliwie bogate pomocnicze instytucje naukowe, laboratorja, pracownie, umiejętnie prowadzone seminarja i t. d. Wartość tego wszystkiego tembardziej nauczy się cenić ten, kto by chciał czynić porównanie z osławionym uniwersytetem warszawskim pozbawionym niemal zupełnie tego wszystkiego, co stanowi istotną cechę wyższego nauczania. To jednak nie wszystko—to wystarczyć nie może. A wystarczyć na razie musi, skoro ci, którym dano z katedry przemawiać do młodzieży, nie chcą wprowadzenia do nauki pierwiastku idejowego, któryby pozwalał spojrzeć na daną dziedzinę nauki z punktu widzenia ogólnego światopoglądu. Mamy historyków, historyków literatury, ekonomistów, którzy są nie raz wirtuozami swego fachu, i znowastwo ich podziw wzbudzać może. Jeśli są w dodatku dobrymi pedagogami, to ich słuchacze nabędą również wirtuozowskiej sztuki ustalenia faktów, w której przejdą może z czasem swych mistrzów, ale nie nauczą się nigdy wydobywać w powodzi faktów ogólnych prawd, a myśl ich nie zatoczy nigdy szerokich widnokręgów, które jedynie uprawniają do nazwy uczonego. Jakże wielu mamy specjalistów, którzy po za swą gałęzią wiedzy, w której celują, są zupełnymi ignorantami we wszystkich innych polach wiedzy, i w zdumienie nieraz wprawiają swe otoczenie, które wszystkiego raczej oczekiwało po

oficjalnych przedstawicielach nauki, niż naiwności w wypowiedaniu poglądów. Tego wszystkiego nie byłoby, gdyby nauczaniu przyświecała idea przewodnia, gdyby znajomość rzeczy łączono z szerokim poglądem.

Byłoby może niesprawiedliwością wobec uniwersytetów galicyjskich ryczałtowe stwierdzenie, że są one siedzibą rutyny. Niewątpliwie, mają one poważne zasługi, a i temu zaprzeczyć nie podobna, że dokonywa się w nich, choć bardzo powoli, zmiana na lepsze. Potrzeby czasu idą jednak prędzej, a uniwersytet zaspokoić ich nie może. Pozostaje wobec tego jedyne wyjście: próbować ich zaspokojenia poza murami uniwersytetu.

Do tego wniosku przyszły społeczeństwa na Zachodzie już dość dawno. I u nas więc, gdzie stosunki bardziej, niż na Zachodzie, wołają o pomoc do nieba, musiano z kolei o tem pomyśleć. Hasło: „obok przybytków wiedzy oficjalnej stwarzajmy naukę wolną“ niedługo kazało czekać na swe urzeczywistnienie.

J. Krz.

▷○○○○○○○○◁

## Muzy Weimaru.

Pociąg pośpieszny, łączący Lipsk z Frankfurtem nad Menem zatrzymuje się w *Weimarze* jedną zaledwie minutę. Ten *jednominutowy* przystanek jest symboliczny. Któż nie naczytał się w dawnych książkach niemieckich o „ukochanym od Muz“ Weimarze? Największe nazwiska literatury niemieckiej z Weimarem są związane. Tu mieszkał Goethe lat pięćdziesiąt, tu Szyller spędził ostatnie lata, tu żyli Herder i Wieland. Tu mieszkał też później Liszt i Nietzsche. Nazywano dawniej Weimar *die Musenstadt*. Dziś pociąg zatrzymuje się tutaj minutę i spółtowarzysze podróży dziwią się, gdy turysta chce ich w... Weimarze opuścić. In Weimar? W jakim celu?.. Jaki związek pomiędzy Niemcami dzisiaj a ich klasyczną literaturą? Byłem niegdyś studentem niemieckim i z tych czasów zachowałem dwa charakterystyczne wspomnienia. Na cokule pomnika Goethego w Tiergartenie berlińskim można było czytać jednego poranku:

*Einst warst du der Mann*

*Heute ist's Suder—mann.*

(Niegdys byłeś ty wielkim, dziś jest nim Sudermann!)

Sudermann był podówczas głośnym autorem sztuki teatralnej „Koniec Sodomy“, która obeszła w krótkim czasie wiele scen świata, także sceny polskie i dawno już spoczęła na wieki wieków w panteonie zapomnienia!

Drugie wspomnienie jest poważniejsze. W seminarjum ekonomicznym Augusta Meitzena, (który z polskich badaczy ekonomicznych nie zna tego wielkiego nazwiska?), ktoś z pracujących tam cudzoziemców zacytował z pamięci ustęp II z części *Fausta* i wywołał tem podziw nadzwyczajny. Pan zna *Fausta*? U was czytują *Fausta*? Po wykładzie Meitzen, jowialny staruszek, zaczął sobie przypominać ustępy z Goethego, z Szyllera. Nikt zśród młodszych, pracujących tam niemieców, nie umiał powiedzieć skąd pochodzi cytata. I jeden uczciwszy, przyznał, że nigdy *Fausta* nawet nie czytał, że nie widział go na scenie; że takich jak on jest większość; że w szkole czytają streszczenie w historii literatury i że streszczenie to wystarcza do egzaminu... Goethego czytają ci, którzy zamierzają poświęcić się studjom w zakresie hi-



storji literatury niemieckiej, przyszli profesorowie gimnazjalni i uniwersyteccy. Ale naród niemiecki? Naród niemiecki kupuje na spłaty u komiwojażera księgarskiego zbiorowe wydanie klasyków, tomów kilkadziesiąt wraz z szafką, pięknie „na mahon” pomalowaną...

Słowem: Niemcowi współczesnemu wystarcza przystanek minutowy w Weimarze. Miasto liczy trzydzieści tysięcy mieszkańców, fabryk posiada mało, wielkiego przemysłu wcale, ruch słaby częściej materjalnych organizmów społecznego nie wymaga większej uwagi zarządów kolejowych.

Miasteczko jest czyste, ponoć zdrowe, rzuczone między łąki Turyngeji w dolinie, zewsząd otoczonej wieńcem pięknych lasów. Rano świeciło słońce i miasteczko uśmiechało się zalotnie. Wesoło dzwonił tramwaj, obywający się bez kontroli konduktora (pieniądze wrzuca się do puszek — to również szczegół charakterystyczny!); przejeżdżamy obok teatru, obok szkół publicznych. Jest wczesna godzina wrześnieowego poranku: pełno dzieci i młodzieży na ulicach. Kilka drużyn skautowych gotuje się w drogę. Dalej sunie szkoła ludowa pod wodzą nauczycieli (w okularach, zielone puszki przewieszane przez ramie), na dłuższą wycieczkę do lasu. W gimnazjum odbywa się lekcja gimnastyki, turniej raczej, w obecności rodziców, którzy pomimo wczesnej godziny przybyli tłumnie — jesteśmy w Niemczech! — i podziwiają sprawność trochę ciężką, wyuczoną, mało indywidualną gimnastów. To jest Weimar dzisiejszy, żywy, poruszający się ulicami. Ale myśmy opuścili pociąg nie dla tego nowego Weimaru, który nowoczesną swoją architekturą nie przypomina *onego*, który przecież nas, cudzoziemców, zajmuje, a który *skamieniały*, w domach, co gościły niegdyś Szyllera i Goethego, przetrwa ten drugi żywy, nad którym unoszą się sztandary wielkoksiażące ku czci Sedanu (3 września).

*Hier wohnte Schiller*, czytamy nad prostemi wrotami, prowadzącymi z ulicy do sieni. Wchodzimy. Na dole dzisiejszy Weimar: sprzedają pocztówki, ornamenty, biusty. Na samej górze parę pokojów poety. Skromności nieopisanej. Najemnik dzisiejszy, parjas kapitalizmu nie mieszkałby w takich warunkach. Ale ileż nastroju. W pracowni stół zwyczajny, na nim arkusz rozpoczętego *Demetriusa*, w tyle stary szpinet, nad fortepjanem gitara. To małżonka Szyllera uprzyjemniała mu chwile tworzenia. Pod wieczór, o szarej godzinie, poeta sadowił się w fotelu. Pani tego domu pobrękując na gitarze, albo na lutni tęsknie świącąc nuciła piosenki, które bohaterki poety nuciły ze sceny. A nad szpinetem unosiły się proste melodie Palestriny, francuskich klawicynistów, głębokie chorały Bacha. I wnet zaludniał się pokój: przybywały Muzy a pod ich opiekuńczym skrzydłem przybywał Poza, Don Carlos, Wilhelm Tell, Karol Moor, bohaterowie walki o niepodległość Niderlandów, przybywał Duch Wieku, Duch nieśmiertelny Wolności. Każdy wieńce przynosił, Muzy składały pocałunki na wiecznie tęskniącym czole poety. Głęboko w noc przeciągały się te wigilje. Niekiedy, latem, pierwsze promienie wschodzącego słońca zastawały jeszcze uczestników przy wiekuiestej zabawie. I radością zamglone oko poety witało jutrzeńkę, przybywającą do jego okien—od strony... Francji. Dziś polski turysta tu, w tych szarych ścianach własną przeżywa raz jeszcze młodość. Wraz z Tellem „walczył” o wolność Szwajcarji, z de Pozą—o wolność sumienia, buntował się z Karolem Moorem przeciwko przesądom i nadużyciom

klasowym, przeciwko tryumfującej zbrodni, niekczemności, głupocie—płakał na grobach tylu złodzień, radował się zwycięstwem bohaterów niderlandzkich nad przemocą zaborców. Sam nie umiałby określić, jak te wielkie twory romantyka niemieckiego zaważyły na własnym jego umysłowym i moralnym rozwoju, jak głęboko zorały jego duszę. Przyjmij, Duchu wielki i nieśmiertelny, kochanku Muz i Wolności dank wdzięcznego polskiego serca...

...Nico dalej jest Muzeum Goethego. Goethe był nietylko poetą, filozofem, mocarzem w świecie Ducha. Był oraz ministrem wielkoksiażącym. Dom Goethego, to nietylko pracownia, to zamożny dom staro-mieszczański. Są mundury wielkoksiażące, szpady i orderzy, salony, wypełnione sztuką grecką w odlewach współczesnych, jest zbiór majolik i historia Psyche na ścianie; jest kilka pięter, a na tych piętrach kilkanaście pokojów. Jest piękny widoczek z okna na zieloną łąkę ogrodu. Porzucmy przedko tę przemijającą chwilę w życiu Goethego. Od tyłu są jego osobiste pokoje. Jest zbiór mineralów, gromadzony osobiście w czasie długich podróży po świecie ówczesnym, jest nad wyraz skromna pracownia, jest alkowa, a w tej alkwie: łożo i starodawny fotel. Tu w tej pracowni gościł lat pięćdziesiąt (1782—1832) największy duch swego czasu, olbrzym olimpijczyk! Tu, w tej ciemnej, niskiej kuźni, o dwu małych okienkach wykuwano w ciągu półwiecza pracą niespożytego gienjusza wielkie a często nieśmiertelne wartości. Tu doktor Faust uprawiał alchemję, wywoływał Szatana, pił eliksir wiecznej młodości, sny śnił o stawie, o pięknie, o miłości. Tu pracował kołowrotek Małgorzaty, tu tęskniące spotykały się usta, tu wyklinali Kościół i Walenty, tu odbywało się święto czarownic i święto Heleny greckiej, tu Duch Ludzki tęsknił i szukał, w znoju i niepokoju, kochał i żałował, podnosił się i upadał, nienawidził i przebaczał. Tu gościły największe problemy człowieka: Bóg i natura, jednostka, gromada. Tu, o bogowie, nad stolikiem tego Niemca wisały i pozostały dwa tylko medaljony: *Jowisza* i *Napoleona*, tego korsykanina, co jak huragan zwałił się na ówczesne Niemcy Goethego, Niemcy policji i absolutyzmu, co zniszczył potęgę Fryderyków pod Jeną i jak meteor przeniósł się ponad światem, burzył i budził, niszczył i podnosił, przekreślał dziewięć razy wszystkie granice, wciąż nanowo rysował mieczem i rozumem mapę świata i wolę królewską mocarza przeciwstawiał hordom królików, niewolników, liliputów, wybrańców przywilejów i praw odziedziczonych. Tu gościł też chwilę duch młodego Adama Mickiewicza. Tu gościli w niekończącym się korowodzie wszyscy „europejczycy” ówcześni: poezja, sztuka, polityka. Tu rozumiano wszystko i wszystkich.

Z łatwością przedziwną operowano wszystkimi pojęciami, kochano wszystkie wartości. Miłowano także siebie: swój spokój, stanowisko, próżność. Tu w ciżbie mundurów, wśród kapeluszy stosowanych i szpad, w całym przepychu liberji arcyksiażęcej nie było często miejsca dla Szyllera. Ale mędrzec umiał pod pozorami liberji i zależności dworzanina ukryć głęboko cudowny świat własnej wolności wewnętrznej. I w tym świecie wolności tylko mógł się urodzić Faust nieśmiertelny, jak Ludzkość wielki i stary, marzenia człowieczego symbol tajemniczy, w urodzaju czterdziestu tomów —jeden, który zostanie nazawsze, klejnot szlachecki ducha niemieckiego.

Są jeszcze dwa domy, dwie siedziby w Wei-



marze, które turysta odwiedzi. *Dom Liszta—Archiwum Nietzschego*. Drugie zamknięte z powodu kłótni spadkobierców i wydawców. Piękny gmach nowoczesny, wyrzucony na krańce miasta, już poza granicami doliny Weimaru, w górze Luisenstrasse, wśród ogrodów, przy drodze wysadzonej śliwkami. Nietzsche tu nie mieszkał w wieku dojrzałym, nie umarł tutaj. Mauzoleum dźwignęła siostra p. Elżbieta Förster jego książkom, nie osobie.

Cóż powiem o Liszta siedzibie? Jego stara gospodyni pokazuje jego fajki, których nie palił, jego laski, których nie nosił, jego niezliczone tabakierki, których nie używał. Mnóstwo portretów artysty, w tej liczbie piękny portret Ary Schefera z czasów paryskiej przyjaźni z Chopinem. Pełno pamiątek po pięknych księżniczkach i niemitrowych pięknych paniach, na których spoczęło kiedykolwiek na szerokim łuku świata nienasycone oko węgierskiego cygana. Nie lubię jego muzyki, jego pijanych czardaszów, przybieranych w festony symfonji; jego głośnych, krzykliwych, trudnych w wykonaniu pustych i niepotrzebnych utworów, godnych muzykalności dworów i uszu sultańskich (ileż tu i jak pięknych podarków od sultana!) To też nie znalazłem w tej siedzibie nic, co by mnie wzruszyło i z uczuciem ulgi doręczyłem pół marki, której żądano odemnie.

Jest też w Weimarze cmentarz, stary, w pewnej części nieco Powązki nasze przypominający cmentarz protestancki. Tu spoczywa rodzina Goethego aż do ostatniego jej przedstawiciela *Walther von Goethe 1818—1885* („mit ihm erlosch Goethes Geschlecht, dessen Namen alle Zeiten überdanert“), rodzina Herdera, poeta Wildenbruch. Tutaj—kaplica prawosławna kryje szczątki Marji Pawłówny († 1859), córki cesarza Pawła I, małżonki Karola Fryderyka weimarskiego. Tutaj też znajduje się mauzoleum książęce (od r. 1824), a w niem obok kości Augustów i Fryderyków dziką wolą doczesnych władców złożone zostały szczątki śmiertelne Szyllera i Goethego. Szyllera wykopano na cmentarzu kościoła św. Jakóba. Po śmierci musiały za karę, za grzechy Tellów, de Wittów, Pozów, Karolów Moorów przyjść tu między kolumny tych podziemi i uszlachcić, nieśmiertelnić prochem swoim siedlisko tych, co „byli chwilą i minęli“. Tu też spoczął minister Goethe.

Wychodzimy—i wnet odleciało wspomnienie tego mauzoleum próżności i Cherubów ducha strzegących jego kamieni. Obcowaliśmy przed chwilą z wiekiście buntowniczym Szyllerem, z olimpijczykiem Goethe'm tam w starych domach, w ciemnych ścianach niedzisiejszej komnaty, gdzie jednak słońce wiekistej Tęsknoty paliło niegdyś niegasnące Znicze swego panowania.

Pod wieczór wędrujemy do parku. Jest bowiem w Weimarze park olbrzymi, rzeka, Ilm zwaną, przecięty na dwoje. Sadził go ponoć sam Goethe i książęcy jego protektor. Jest tam „domek Goethego“, jest „ławka Szyllera“, jest pomnik Szekspira. Są stare aleje drzew odwiecznych, które znały wielkich poetów, które słuchały ich zwierzeń. Tu w tym parku w czarującym świetle księżycyca rodziły się dramaty, tu kochała Małgorzata, cierpiał Don Carlos, tu dokoła „ławki Szyllera“ zbiegały się cienie wszystkich Amelji, Karolów Moorów, romantycznych Pozów i nieszcześliwych Don Carlosów, tu Wallenstein na tej wielkiej łące zakładał swój obóz, śpiewała Tekla... Zapada wieczór, jeszcze księżycyca niema a zdaje nam się, jak gdyby korowodem wielkim, nieskończonym sunęły przed nami cienie od wielkich ich ojców ukochane.

*Ihr naht euch wieder, ihr wankenden Gestalten...* powtarzamy za prologiem „Fausta“. Ile razy spływały na poetów widzenia, od nich ukochane, w tych alejach cienistych! W nadrzecznej leszczynie, jak dziś i wówczas słowik śpiewał...

Dziś słychać tu nietylko słowika głos i trele. Budzi nas z zadumy o rzeczach stuletnich i wiekiuistych—syrena... lokomotywy. Nie znali jej ani Szyller ani Goethe i Edison gotów jest myśleć, że o tę syrenę jesteśmy od nich wyżsi.

Czas wracać. Żegnajcie drzewa, szmery, szepoty miłosne, romantyczne giesty, niedzisiejszego dnia żegnaj pieśni niemiecka.

...Przeżyliśmy piękną chwilę. Jej wspomnienie oskrzydli pamięć sztandarów sedańskich i pamięć mauzoleum na cmentarzu. I nieraz od Niemców—prusaków, od pychy krzyżackiej i pustoty i próżności kapitalizmu niemieckiego wracać będziemy ku tym siedliskom Myśli, która w słońcu początek swój brała i nietylko dla Niemców, przedewszystkiem dla Ludzkości żyła.

Stanisław Posner.

▷○○○○○○○○◁

## Litwa z przed stu lat.

I.

„Litwa w roku 1812“, napisał Janusz Iwaszkiewicz. Monografie w zakresie Dziejów Nowożytnych. Kraków-Warszawa 1912.

Utworzenie Księstwa Warszawskiego, a w dwa lata później, mocą pokoju w Schönbrunie z d. 14 października 1809 r. powiększenie jego terytorjum przez część zaboru austriackiego, wzbudziło obawy Rosji o całość jej własnego zaboru. W roku więc następnym zażądał natychmiast od Napoleona cesarz Aleksander gwarancji, że nie myśli o odbudowaniu Polski, a w roku 1811 postanowił sam wkroczyć do Warszawy i ogłosić się królem polskim, uprzedzając w ten sposób rzekome zamiary Napoleona. Chodziło tylko o pozyskanie sobierządu i wojsk Księstwa Warszawskiego. Wysłany przez cesarza do Warszawy w początkach r. 1811 ks. Adam Czartoryski spotkał się jednak ze stanowczą odmową ministra wojny i wodza wojsk Księstwa, ks. Józefa, co z gruntu uniemożliwiło plany cesarza Aleksandra. Do końca jednak roku 1811 zamiast przyjacielskiej groziła Księstwu Warszawskiemu mniej już przyjacielska inwazja ze strony Rosji. Lecz z początkiem r. 1812 warunki zmieniły się krańcowo—nieuniknione już było starcie Napoleona z cesarzem Aleksandrem; nie już nie mogło powstrzymać pochodu Wielkiej Armji ku granicom Litwy. Napoleon nie chciał wojny z Rosją, nie zdołał jej jednak pozyskać sobie ustępstwami w Tylży i Schönbrunie, a nieprzejednane jej stanowisko było mu nie na rękę. „Powierzenie obu skrzydeł Wielkiej Armji korpusom posiłkowym, austriackiemu i pruskiemu, jest faktem, charakteryzującym całą kampanję r. 1812, stwierdza bowiem charakter czysto manifestacyjny tej kampanji, którą dotychczas przedstawiano jako walkę „à outrance“. (Wacław Tokarz, Pamiętniki Białkowskiego, str. 283). I nie była, ściśle biorąc, kampanja 12-go roku „kampanja polską“, choć nazwał ją tak Napoleon w proklamacji, wydanej do armji, jak nietylko sama sprawa polska była węzłem niezgody Napoleona i Aleksandra; przeci-



wnie—w całej akcji Napoleona w kampanji 12-go roku sprawa polska usuwała się w głąb poza motywy ogólnej polityki Cesarza.

W jaki sposób ułożyły się stosunki narodowe na Litwie w roku 1812, jak odbił się na niej wpływ, pędzącej na oślep w kierunku Moskwy, fali napoleońskiej i ruch jej wsteczny,—sprawy te, tak interesujące dla nas, omawia praca p. Janusza Iwaszkiewicza p. t. „Litwa w roku 1812“, pomnażająca naszą literaturę historyczno-naukową o jedno cenne, zwłaszcza ze względu na wyzyskanie nader obfitego materiału, sumienne i gruntowne dziełko.

Widzimy, że Litwa w roku 1812 zawiodła nadzieje Napoleona, tak ze względu na jej gotowość bojową, jak i na pomoc w zakresie zaspakajania potrzeb półmilionowej armji. I rzeczywiście, wbrew przesadnym doniesieniom gubernatorów rosyjskich, wbrew obawom liberalnego męża stanu, Sperańskiego i cesarza Aleksandra, „usiłowania litewskie w r. 1812 cechuje naogół oplakany brak ofiarności obywatelskiej większej miary“ — stwierdza p. Iwaszkiewicz (str. 58). Wpłynęło na to wiele okoliczności, a w znacznej mierze rozdzielenie opinji publicznej na Litwie. Już akcja z roku 1806 za łącznością z Rosją i skrajnie antynapoleońska, podjęta przez ks. Adama Czartoryskiego, Stanisława Ursyna Niemcewicza, Chomińskiego i innych w pewnej mierze wpłynęła na osłabienie entuzjazmu dla Napoleona. Obecnie mniejsza wprawdzie, niemniej jednak wpływowa część magnaterji litewskiej głosiła te same ideje polityczne antynapoleońskie, a była wśród nich tak niecodzienna jednostka, jak Adam Czartoryski, kurator wileńskiego okręgu naukowego. Wielu zaś z tych, co przeciwnego byli zdania, niebacznie opuszczali kraj w nadziei rychłego powrotu z Wielką Armją. Szlachta była naogół biernie i apolitycznie usposobiona, zresztą do zawodu, jaki przyniosła Tytła, przyłączyła się w jej duszy pewna niechęć do „zbyt“ postępowych urządzeń Księstwa (konskrypcji wojskowej, kodeksu Napoleona), a zwłaszcza uwolnienia włościan. To też na uroczystem posiedzeniu Rady Konfederacji Generalnej w Warszawie w dniu 20 sierpnia 1812 r. na którym Komisja Rządowa Litwy składała akces jej mieszkańców do konfederacji, konsyljarz tejże, Linowski, jak notuje autor monografji, „starał się rozproszyć obawy Litwinów przed niemilemi dla nich urządzeniami Księstwa Warszawskiego“ (str. 107). Dla tejsze niechęci „podczas całego trwania wojny duchowieństwo litewskie, z nielicznymi wyjątkami, nie okazało większej gorliwości dla sprawy narodowej i przychylności dla rządu krajowego“ (str. 267), a jezuita na Białej Rusi duszą całą stali przy Aleksandrze i usposobieni byli wręcz wrogo względem usiłowań wolnościowych Litwy.

Lecz nie brak bynajmniej patryjotyzmu wpłynął na to, że ofiarność Litwy w roku 1812 nie odpowiedziała doniosłości chwili. Prócz wymienionych powyżej przyczyn natury ogólnej, oddziaływały tu najbardziej warunki, w jakich kraj się znajdował przed i po wkroczeniu Wielkiej Armji. W przypisach do swej monografji ogłosił p. Janusz Iwaszkiewicz niezmiernie interesującą „Wiadomość o stanie departamentów litewskich, uważanych pod względem finansów, i o czynnościach komitetu skarbowego, sporządzoną w listopadzie 1812 r.“, która w oznaczonym stopniu tłumaczy ówczesną Litwę. Rok 12-ty poprzedziło lato nieurodzaju, co tem większą było klęską dla biednego, wyłącznie rolniczego kraju, który pustoszyły najpierw stale

konsystujące wojsko rosyjskie, potem głodne korpusy Wielkiej Armji. Podatki, kilkakrotnie większe niż w innych gubernjach Cesarstwa, zostały zawczasu wybrane przez rząd rosyjski za cały prawie rok 1812. Rekruta w wielkiej liczbie i co najcięższego chłopca gwałtem wcielano do armji rosyjskiej, w której walczyć musiał przeciw spółobywatelom. Przy braku spoistej i uzdolnionej do swego zadania administracji, przy zupełnym prawie braku władzy wykonawczej — ustawiczne rabunki ogłodzonych lub żądnych łupu maruderów — wszystko to fatalnie musiało wpłynąć na zapal i energję litwinów. A samorzutny i niekierowany przez nikogo ruch agrarny, jaki się począł na wieś o wkroczeniu Napoleona w niektórych powiatach litewsko-ruskich, utrudniał położenie. Zresztą sam Napoleon tamował zapal, czy to rozprasząc pułki polskie Księstwa po oddzielnych korpusach Wielkiej Armji, czy niedopuszczając do zwołania pospolitego ruszenia, które powołał, kiedy już było zapóźno, czy ustawiając wszędzie swoich urzędników i przedstawicieli, ludzi obcych i najzupełniej obojętnych dla sprawy Polski i Litwy, która w proklamacji Napoleona z Wyłkowyszek nazwaną została ziemią „nieprzyjacielską“. Fakty te dobitnie charakteryzują, jak dwuznacznie prowadził Napoleon tę „drugą kampanję polską“. To też prócz większości licznego zastępu organizatorów uwolnionej Litwy prawie wyłącznie tylko młodzież litewska, a w pierwszym rzędzie młodzież uniwersytecka wykazała zapal odpowiedni powadze chwili. „W końcu listopada liczono naogół nowego wojska litewskiego pod bronią około 19 tys., włączając w to i żandarmerję i gwardję narodowe“ (str. 181), czyli siłę pięć razy mniejszą od żołnierzy Księstwa, znacznie mniejszego obszarem. Nie trzeba jednak zapominać, że w pułkach polskich, przybyłych już na Litwę z Wielką Armją, lała się krew litewska obok polskiej, mieszając się z nią na wieczną, nierozzerwalną przyjaźń. Zapamiętać należy o uczuciu obywatelskiem tatarów litewskich, którzy na pierwsze hasło przywrócenia Polski, za przewodem Achmatowicza wzięli się z zapalem do formacji własnego pułku.

W pracy p. Iwaszkiewicza znajdujemy nadzwyczaj interesujące przyczynki do sprawy włościańskiej na Litwie w pierwszym 10-leciu XIX w. i w połowie drugiego. W r. 1812 lud szedł do wojska niechętnie i pod przymusem. Czyż lud mógł działać po obywatelsku, nie będąc do praw obywatelskich dopuszczonym? Przerwała się wąta, lecz złota nie roboty w tym kierunku Konstytucji 3-go maja i usiłowań Kościuszki. „Piękna uchwała Tadeusza, uwalniająca włościan soplicowskich, jest, niestety, tylko pięknym epilogiem poetyckim ostatniego na Litwie zajazdu; w życiu bowiem nie znalazła w owej właśnie chwili historycznej potwierdzenia i nie odpowiadała też zgoła ówczesnemu nastrojowi szlachty litewskiej“ — stwierdza autor monografji (169 str.). „Rząd tymczasowy litewski nie zrobił dla ludu nic, ograniczając się do mglistych obietnic na przyszłość“. Jedynie w kwestji mieszczańskiej powzięła Komisja Rządowa pewne uchwały, które łączyły się z tradycją 3-go maja (udział mieszczan w sejmie skonfederowanym). Bardzo interesujący rozdział pracy p. Iwaszkiewicza stanowi zarys działalności Komitetu oświecenia i wyznań, a w pierwszym rzędzie działalność rektora Śniadeckiego, przewodniczącego Komitetu.

Z braków książki należy zaznaczyć pewne powtarzanie się autora; prócz powtórzeń niezbed-



nych, wynikających z samego podziału pracy, zdarzają się w niej dość często zgola zbytne (zwłaszcza w charakterystyce ogólnego nastroju Litwy w r. 1812), wprowadzone dla większej wyrazistości prowadzące pewien chaos. Autor „Litwy“ dał nam jednak, jak notuje w przedmowie prof. Szymon Askenazy „zdrową, systematyczną, pełną treści konkretnej podwalinę dla poszukiwań dalszych“. Niektóre ustępy tej książki drukowane już były w roku 1910 w *Bibliotece Warszawskiej*.

Bolesław Kalinowski.

„Tygodnik Polski“.

## II.

„Pamiętniki Józefa Franka“ profesora Uniwersytetu Wileńskiego. Z francuskiego przetłumaczył, wstępem i uwagami zaopatrzył dr. Władysław Zahorski. 3 tomy. Biblioteka Pamiętników. Wilno 1913.

Wielka to zasługa Wilna, że zostało podjęte piękne wydawnictwo zbioru pamiętników polskich: zbiór taki jest nam wielce potrzebny. Pomimo błędów i niedokładności, właściwych prawie każdemu wspomnieniu czasów minionych, braku te w zupełności okupuje wzgląd, że stawiają one wprost przed oczyma czytelnika przeszłość bez żadnego pośrednictwa: wszyscy pamiętnikarze mówią, jak który potrafi i co chce, wprowadzają nas w tętno społecznego mu życia, w jego nastroje, oraz zachowują nam owe drobne, lecz niezmiernie ważne i charakterystyczne rysy, które stanowią prawdziwy koloryt przeszłości.

Pożyteczne to wydawnictwo rozpoczęło się od wspomnianego z najzasłużeńszych profesorów niezapomnianego Uniwersytetu wileńskiego. Frank opisuje dość szczegółowo swój pobyt na Litwie od 1804 do 1823 roku. Wspomina on o przeróżnej wagi sprawach, zaczawszy od zdarzeń dziejowego znaczenia aż do anegdot.

Trzeba przyznać, że nie znajdujemy tu rzeczy całkowicie niepotrzebnych, nieraz nawet wolelibyśmy, żeby autor niektóre strony traktował szerzej i nie zbywał ich wzmiankami, zwłaszcza tylu wybitnych ludzi ówczesnych w Wilnie. Dość niebezpieczną właściwością tych pamiętników są kategorięczne opinie o osobach; należy stale mieć na uwadze, że Frank, jak każdy pamiętnikarz, powoduje się w swych opisach wrażeniami życia potocznego, a przeto jego sądy nie są odzwierciedleniem istotnej wartości ludzi, lecz nastroju momentów, nie są wyrazem bezspornej prawdy, lecz odbiciem głosów poszczególnych jednostek, czy to zrażonych, czy też poczytujących siebie za skrzywdzone. Ta stronność ma ogromne znaczenie dla badacza, ponieważ po dziesiątkach lat zmartwychstają w całej bezpośredniości charakter, ich sympatje i antypatje.

Ogólne opinie o naszym kraju są tem cenniejsze, że pochodzą od światłego cudzoziemca, który nie żywił żadnej niechęci do Polski, owszem pracował nawet gorliwie, chcąc być pożytecznym, i to nie tylko w murach wszechnicy. Pod jednym tylko względem zacytuje ten profesor bezwiednie grzeszy: nie umiał wnikać głębiej w psychikę narodu. Duszy polskiej Frank nie poznał. Sam nieraz świadczy, że się do Litwy przywiązał, naczył się tu po polsku i mówił dość biegle w naszym języku; Litwę poznał i polubił, ale poznał prawie tylko zewnętrznie: świetnie znał Wilno, je-

go domy, ulice, ogrody, okolice i t. d., bratał się z polakami, kochał się w polkach bywał w towarzystwie, ale duszy polskiej nie zląbił. Bo choć był człowiekiem inteligentnym, byстрыm, daru przenikania społeczeństwa zgola nie posiadał. Tem się często tłumaczą jego powierzchowne i jakby lekkomyślne zdania, najjaskrawiej występujące w opisie wypadków 1812 r., opisu swoją drogą pod względem wartości historycznej niezmiernie cennym. Rzecz charakterystyczna, że z jednakową płytkością odzywa się i o Szubrawcach i o Promienistych.

Pomimo słabych stron, nieodłącznych niemal od każdego pamiętnika, wspomnienia Franka przynoszą szacowne i obfite wiadomości o Wilnie, jego życiu towarzyskiem, rozwoju instytucji naukowych, a zwłaszcza najciekawsze i najważniejsze o Uniwersytecie wileńskim.

Przekład na ogół dobry, choć byłoby lepiej nie tłumaczyć dosłownie francuskich określeń męża i żony przez *monsieur* i *madame*, razi nas bowiem powtarzające się wciąż wyrażenie: „pani Frankowa“, które powinny brzmieć: „moja żona“. Z błędów językowych można wytknąć: „zeznawać“ (I, 131; III, 146) zamiast zdawać sobie sprawę, uświadamiać, odczuwać; „fizyko-lekarski“ (II, 57) zamiast fizyczno-lek.; „odmówił się“ (II, 112), zam. odmówił; „nie omieszkał wyznaczyć fundusz“ (III, 61)—rząd przyp. 4-go zam. 2-go.

Korekta nie nazbyt staranna: „de Schade“ (I, 45)—powinno być Schad; „August“ (I, 67)—Augustyn; „Pawot“ (I, 180) = Parrot; „Wolański“ (I, 191, 227) = Wełłański; „Bigulski“ (II, 15) = Biegulski; „Kilien“ (III, 138) = Kilian; „komplikacje“ (I, 163) = kompilacje; wizerunki i *roztrzygania* naukowe“ (I, 201) = roztrząsania i t. d. Indeks ułożony bez należytej ścisłości, opuszczenia są bardzo liczne, jak np. Becu (I, 225), Borsuk (I, 224), Chodani (I, 226), kurator Czartoryski (I, 91, 123; II, 131, III, 223), Golicyn (III, 210), Grodek (I, 224, III, 86), Malewski (II, 23), Józef Mickiewicz (I, 147, III, 78) Razumowski (III, 39, 43, 79), Reszka (II, 69), Jan Śniadecki (I, 206, 225) i t. d.

Usterki te wszelako nikną przed rzetelną zasługą p. Zahorskiego—przetłumaczenia i przygotowania do druku tych niezmiernie interesujących „Pamiętników“, które polecić należy szerokim kołom czytelników.

Ludwik Janowski.

„Książka“.

▷○○○○○○○○◁

## Nad Naroczem.

### W noc wietrzną.

*Wicher się zrywa... dreszczem przeszedł wody,  
Marszcząc je w fale i perląc w biel piany...  
Z niebios się mroku księżyc zsunął młody.  
Wiew chmurnej nocy grozą rozetkany*

*W tonie jeziora brutalnie się wdziera...  
Szara ciemnica płachty rozpościera  
Na wód seledyn, złote brzegów piaski,  
Na gwiazd dalekich obumarte blaski...*



*I wokół dyszy noc, przestrzeni pani...  
Wicher szalejąc coraz bardziej dla niej,  
Wody jeziora z głębi toni zrywa...*

*Z szumem złowieszczym wody swe przewala,  
Wyrwana mocą rozszalała fala —  
Jeziora dusza, tchnieniem wiecznie żywa.*

Jan. Ody.

## Wyspa.

*Cicho sen lazurowy jeziora otoczył  
Wyspę—marzenie, czarem z tona wód wydarta,  
Obroną kwiatów tęczą, zielskiem i drzew wartą,  
By ukrytej ruiny jej twierdz nikt nie zoczył.*

*Argonauto, coś śmiało na jej brzeg dziś skoczył  
I przedzieraszą się ścieżką deszczami zatartą,  
Słuchaj! tu każdy wiatru wieś jest nową kartą,  
Którą los z księgi marzeń tobie wyprzezoczył.*

*Słuchaj, może ci dzisiaj sądzono z wód głębi,  
Może z tajemnych gąszczów, kędy mur się kruszy  
I węzów splót w bagnisku czai się i kłębi,*

*Może sądzono wyrzec talizman, co zruszy,  
Najgłębszych prawd zawory i lotem gołębi  
Odnaleźć najtrudniejszą drogę własnej duszy.*

Hero.

▷○○○○○○○○◁

## Na marginesie.

### Wykolejenie opinii publicznej.

Są—jak wiadomo—dwa rodzaje prasy.  
Miarodajna i warcholska.

Pierwszą reprezentują duże dzienniki, zasobne w ogłoszenia, prenumeratorów i dające wyraz opinii publicznej. Druga—ledwo dychające wydawnictwa, których nie uznaje ani żaden Metz, ani „społeczeństwo“.

O pierwszych mówi poważny obywatel, że się szanują i są dobrze informowane. O drugich zaś... O tych drugich najczęściej nie mówi, bo o nich nie wie; a jeśli się przypadkiem dowie, to pobłażliwie wrzusza ramionami.

— Phi — mruknie — takie głosy nie idą pod niebiosy.

Gdyby za czasów nieboszczyka Galileusza istniało siódme (dziś już właściwie—dziesiąte) mocarstwo, t. j. prasa, można się założyć, że dzienniki miarodajne, dobrze informowane, stojące na stanowisku religijnem, narodowem, szanujące uczucia społeczeństwa i broniące jego moralnego zdrowia—słowem wszelkie kurjery warszawskie, litewskie, wszelkie „Czasy“, dzienniki poznańskie etc., etc. z godnością broniłyby tezy walcowania słońca dokoła ziemi.

Tak.

Bo to organy opinii publicznej.

Na tych organach wygrywa ona hymny swej wiary i przekonań.

A robi się to tak.

Redaktor musi przedewszystkiem mieć węż, czyli orientację. Właściwie może już nic innego nie posiadać. Wyczuwać nastrój—oto jest jego główne zadanie.

A gdy taki redaktor wyczuje już ów nastrój, wówczas siada przy biurku i prawi czytelnikom to samo właśnie, co mu się zdaje, że im się zdaje.

Poważny obywatel bierze potem miarodajny organ opinii publicznej do ręki, przerzuca — no i wpada w zachwyty.

Woła żonę.

— Patrz, duszko, słowo w słowo to samo mówiłem. Doskonałe pismo ten nasz kurjer.

W rezultacie żona zachwycona, że ma męża, którego zdanie potwierdza drukowany artykuł, mąż w siódmym niebie, iż stanowisko jego podziela redakcja, redakcja nie posiada się ze szczęścia, że trafiła w sedno i otrzymuje listy dziękczynne. Słowem — zadowoleni wszyscy, nie wyłączając głównego filaru prasy miarodajnej, t. j. agenta ogłoszeniowego i jego klienteli.

Czasem jednak najlepszy „węż“ zawodzi.

Trafiło się to ostatnio naszemu miarodajnemu „Kurjerowi Litewskiemu“, który—zdaje się — nawet tego nie zauważył. I nic dziwnego. Któż bowiem mógł coś podobnego przypuszczać?

„Kurjer“ nasz mniej, niż inne pisma, narażony bywa na podobne *casusy*. A to z tej prostej przyczyny, że w każdej ważnej sprawie miewa stale dwa zdania. Jedno zachowawcze, drugie — konserwatywne...

Od czasu fuzji.

Ale w kwestji spadkobrania córek miał wyjątkowo jedno tylko zdanie. Zdanie, zgodnie z Kołem Polskiem, wysiadującym centralne fotele Rady Państwa.

Koło było za jedną siódmą.

Więc i „Kurjer“ był za jedną siódmą.

Tego wymagała solidarność narodowa i zdrowy postęp.

I zapewne trwalibyśmy w przekonaniu, iż tak samo myśli „całe społeczeństwo“—gdyby nie... konkurs na nowelę.

Za utwór najlepszy uznali czytelnicy „Kurjera“ rzecz o wyraźnej tendencji społecznej, rzecz, protestującą przeciw nierównościom w spadkobranii córek. W tej więc kwestji pismo poszło do Sasa, a jego prenumeratorowie do lasa. Miarodajny organ opinii publicznej otrzymał votum nieufności i pozostał we wspaniałem odosobnieniu, jako wyraz nie tyle zapatrywań społeczeństwa, ile taktycznych kalkulacji kilku ojców rodzin z Rady Państwa.

„Kurjer“—jak się rzekło—wcale tego nie zauważył. Może nawet redakcja już zapomniała, że była za utrzymaniem różnic w spadkobranii?

Zwracamy jej na to uwagę. Nie sądzimy jednak, byśmy naszemu miarodajnemu organowi sprawili tem przykrość.

Katar wszakże nie jest przypadłością hańbiącą...

Behra.

---

Prosimy o odnowienie prenumeraty na drugie półrocze i kwartał IV-ty b. r.

---



## Opowieść o „Kryjakach“ \*).

„Krytyka, mianująca się artystyczną, sądzi utwory literackie ze stanowiska takiej, lub owakiej polityki,—spiera się i prawuje z pisarzami o ich mniemania polityczne, albo o ich pasje społeczne,—poniża ich, lub wynosi niezastudzenie,—częstokroć poniewiera i znieważa za rewolucyjne, radykalne, albo odwrotnie, za umiarkowane, ostrożne przekonania.—a jak dobrze wiemy z przykładu Cyprjana Norwida — potrafi nawet wielkich artystów ośmieszyć, wdeptać w niepamięć, w nędzę, w rozpacz i w daleki, pospólny grób wygnania“.

Stefan Żeromski.

(Przedmowa do „Kryjaków“).

W istocie krytyka literacka jeśli dotyka poglądów społecznych i politycznych autora, powinna robić z nich zarzut jedynie w tym wypadku, jeśli poglądy te ujawniają się, jako *tendencja*, nie zaś jako *idea* utworu. Niesłuszny zarzut tendencji nie raz spotkał autora „Ludzi Bezdomych“. Autor „Dumy o Hetmanie“, „Kóży“ „Sułkowskiego“ „Urody życia“ i „Wiernej rzeki“ potrafił swe przekonania i sympatje przekuć na drogocenny kruszec artystycznych walorów. To samo śmiało rzecz możemy i o autorce „opowieści“ o podlaskiej partji powstańczej księdza Stanisława Brzózki. „Kryjaki“ należą bez kwestji do tych „subiektywnie“ poczętych i „subiektywnie“ pojętych utworów, przez które jaskrawą nicią przeszła indywidualność autora. Obiektywizm nie może, nie powinien być regułą. Jeśli uderza on nas w tak mocno pomysłanych realistycznych utworach, jak nowele Chojnowskiego i Kadena—staje się on nie do pomyslenia we wszelkiego rodzaju utworach impresjonistycznych i we wszystkich tych, które są nacechowane znamieniem liryzmu. Jeśli Zola przy całym swoim naturalizmie nie potrafił być zawsze obiektywnym, to czyż można wymagać obiektywizmu od takiego np. Knuta Hamsuna, od Mickiewicza, lub jeszcze bardziej od Słowackiego i Kraśnickiego,—od Baudelaire'a, czy Verhaerena, Maeterlincka, czy Przybyszewskiego, lub Kasprowicza?

„Kryjaki“ jest to utwór o potężnym podłożu idejowym, o silnym napięciu tego bólu, który przeraża Polskę, który na obliczu jej duchowego rozwoju zostawił wieczne, niezatarte ślady i który — obecnie — po przez depresję epoki pozytywizmu — nawiązuje mocne nici wielorakiego pokrewieństwa pomiędzy niebotycznymi wizjami autorów „Anhellego“ i „Kordjana“, „Pieśni do młodości“ i „Dziadów“ i wreszcie „Psalmów“ — a epoką późniejszą, w której dźwięczały lutnie Ujejskich i Romanowskich i jeszcze późniejszą, — obecną — w której w zwartym szeregu chociaż odmienni od siebie, stanęli artyści tej miary, co Żeromski, Sieroszewski, Daniłowski, Andrzej Strug, Orkan, Miciński, Savitri i inni. Do ich rzędu, obecnie, zaliczyć musimy i autorkę „Pani El“ i „Fauness“.

Sród literatury o 63-cim roku — kto wie — czy utwór omawiany nie jest najsilniejszym? Walewska daje, co prawda, zaledwo fragment zajęć historycznych (na równi zresztą z „Wierną rzeką“ Żeromskiego). Wrażenie jednak z tego fragmentu nadaje znamiona syntezy. Nie brak, co prawda,

\*) Marja Jehanne Walewska (hr. Wielopolska:) „Kryjaki“ o sześćdziesiąt trzecim roku opowieść z przedmową Stefana Żeromskiego. S-ka nakładowa „Książka“ Kraków str. 186.

„Kryjakom“ paru niedokładności, dotyczących faktycznej strony opisanych wypadków, nigdzie jednak — zasadniczo — nie rozmija się z prawdą historyczną w kreśleniu tła powieści, tak jak nie rozmija się z prawdą psychologiczną i artystyczną w kreśleniu charakterów i epizodów fabuły.

„Mojem zdaniem, naród nasz nie posiada warunków do niepodległego bytu politycznego... Jeżeli więc ideałem naszym miałyby być idiotyczne dążenie do politycznej niepodległości, to ideałem państw zaborczych, a szczególnie Rosji i Prus, musi być konieczne tępienie nas... Ten to fałszywy nasz, z religijną czcią pielęnowany ideał jest głównym powodem narodowej naszej niemocy — on bowiem oddala nas od jedynej racji naszego bytu narodowego w dziejach ludzkości, a mianowicie od niesienia na wschód prawdy katolickiej“\*.

Na powyższe sentencje „po 40 latach“ — w 10 lat potem, innemi słowy — w 50 lat po śmierci Traugutta, — znajduje Walewska artystyczny wyraz dla swych, zgoła odmiennych poglądów. I ponieważ poglądy te jej są szczerze i wżarły się jej i w krew i w mózg; wzmogło się napięcie liryzmu i skojarzyło się z nerwem dramatycznym i wytwornością artystyczną autorki. Mamy tu momenty zadziwiającej mocy, wyrzeźbione w granicie ostrym i twarde rylcem, zapominającym czasami o ornamentach, lecz nie zapominającym nigdy o poincie.

Do najsilniejszych scen — zaliczyć należy rozmowę biskupa podlaskiego, Szymańskiego, z księdzem Stanisławem Brzózka i jego „partją“ (str. 86—88 i poprzednie: „Hańba ci polski biskupie!“) opowiadanie Platerówny w obozie o zajściach warszawskich, które kończy uwagą: „Wyście dużo zapewno widzieli pól, zasłanych trupami — ale nie widzieliście nigdy i nie zobaczycie takiego pola żywych ciał ludzkich, któreby się zdawało polem umarłych“ (str. 118), oraz opowiadanie o balu w Łomży, podczas którego skutą Majewski przygląda się brutalizowaniu swojej żony (str. 119 — 124), przemowę Brzózki 125—127 i in. Tragizm podnosi się tu do djapazonu. Groza scen poszczególnych i beznadziejność walki powstańców przewyższa grozę i beznadziejność, jakimi przepojona jest „Wierna rzeka“ — a jednak, rzecz dziwna „opowieść“ Walewskiej nie sprawia wcale tego wrażenia beznadziejnego pesymizmu, z którym próżno usiłuje walczyć Żeromski. Świadomość opanowanego bólu i wiara w granitową moc ludzkiego ducha, wszystko to stwarza u autorki ten tak znamieny u niej sarkastyczny uśmiech i tę wiarę jej, że „buńczuczny sen“ się nie skończył i że jeśli bohaterzy — „kryjacy“ zasnęli snem innym nie — „buńczuczny“, — to tylko na chwilę i że stali się oni jak „chochoły“ — w ogrodach — co kryją na sen zimowy krzaki płomiennej róży, aby z wiosną mogła na nowo zakwitnąć“.

Bolesław Zahorski.

\*) Hr. Jerzy Moszyński: „Po 40 latach“. Str. 20. Cytujemy za M. J. Walewską: „Parę wstępnych maksym do rozdziału II“. „Kryjaki“ str. 38—39.

## Nec plus ultra.

Znaną jest ignorancja brukowej prasy warszawskiej w zakresie spraw, dotyczących Litwy i Rusi. Rekord pod tym względem pobiła „Gazeta Poranna 2 grosze“, która niedawno nadzwyczaj szumnie obchodziła jubileusz pierwszego roku swego istnienia.



W № 278 znajdujemy artykuł p. t. „Akty nienawiści“, w którym czytamy dosłownie, co następuje:

„Nadesłano nam w przekładzie polskim dwa memorjały, z którymi Litwini wystąpili w czasach ostatnich „wobec świata“ ze skargami na „ucisk polski“.

„Memorjał duchowieństwa litewskiego p. t. „Stosunki litewsko-polskie w djecezi wileńskiej i nadużycia partji wszechpolskiej“ wydany był pierwotnie w języku włoskim i przeznaczeniem jego jest „urobić opinję“ w sferach watykańskich przeciwko polakom“...

„Drugi memorjał nosi tytuł: „Uwagi o konflikcie języków polskiego i litewskiego w djecezi wileńskiej“ i przełożony jest z francuskiego.

„Nie będziemy wnikać w treść tych memorjałów. Są one przesiąknięte nienawiścią do polaków“... i t. d., i t. d.

Jak wiadomo, drugi memorjał jest odpowiedzią p. Hipolita Korwin-Milewskiego na pierwszy i staje gorąco w obronie praw języka polskiego. Ale redakcja dwugroszówki nie uważała za potrzebne zapoznać się z treścią nadesłanych broszur i zbudowała swój artykuł wstępny na podstawie tytułów, figurujących na okładkach.

Takich sumiennych informatorów i przewodników duchowych mają szerokie warstwy ludności warszawskiej.

## KRONIKA.

— Antoni Małecki.

D. 7 października n. st. zmarł we Lwowie Antoni Małecki, autor znakomitego dzieła, które uczyniło go u nas ogólnie znanym: „Gramatyki polskiej“.

Urodzony w r. 1821 pod Poznaniem, w tym ostatnim ukończył szkoły, poczem został słuchaczem uniwersytetu berlińskiego, na wydziale filozofji i historii.

Po opuszczeniu uniwersytetu objął obowiązki nauczyciela w gimnazjum poznańskim i pełnił je do r. 1850, w którym powołany został na profesora filologii klasycznej w uniwersytecie Jagiellońskim. Na stanowisku tem pozostawał lat trzy, gdy wskutek intryg otrzymał dymisję wraz z Wincentym Polem, Helelem i Zielonackim. Niesłuszne usunięcie go z katedry wkrótce zostało ujawnione i Małeckiemu ofiarowano katedrę filologii w Innsbrucku, gdzie pozostawał lat dwa, starając się wciąż o przeniesienie na jeden z uniwersytetów polskich. W r. 1856 mianowano Małeckiego profesorem literatury polskiej w uniwersytecie lwowskim, na którym to stanowisku pozostawał lat 17.

W r. 1872 wybrano go na rektora uniwersytetu, a po roku usunął się ze służby publicznej i zaliczony został w poczet członków akademji umiejętności w Krakowie.

„Gramatyka polska“, dzieło, które stanowi pierwsze umiejętnie opracowanie wszystkich działów tego przedmiotu, wydane zostało we Lwowie w r. 1863. Szereg innych prac Małeckiego z zakresu historii i literatury stanowi pokaźny dorobek dla piśmiennictwa polskiego, zwłaszcza „Życie i pisma Słowackiego“, studjum wyczerpujące nad genialnym poetą, którego pisma Małecki wydał poprzednio w 3 tomach (Lwów, 1865—66).

Napisał też Małecki dwa utwory oryginalne na scenę, mianowicie tragedję „List żelazny“ (Poznań, 1854) i komedję na tle pamiętników Paska „Wieniec grochowy“ (r. 1855). Obie te sztuki cieszyły się w swoim czasie wielkiem powodzeniem, a „List żelazny“ został wzbroniony do grywania na scenie w Królestwie.

Od szeregu lat ostatnich Małecki poświęcał się krytyce literackiej w różnych czasopismach, przeważnie galicyjskich.

— Zjazd działaczy miejskich.

Zjazd działaczy miejskich w Kijowie zamknięto w chwili, gdy odczytany został wniosek przywódcy październikowców A. Guczkowa, zawierający ocenę braków gospodarki miejskiej z ogólnopolitycznego punktu widzenia. Władze upatrzyły w tym przekroczenie kompetencji zjazdu, przedmiotem obrad którego miały być jedynie sprawy, związane ze stroną finansową gospodarki miejskiej.

Wniosek zaproponowany przez Guczkowa, a odpowiadający jednomyślnemu nastrojowi zjazdu, składał się z trzech punktów.

Punkt pierwszy wskazuje na to, iż tylko wykonanie programu finansowego, opracowanego przez zjazd, a związa-

nego nierozłącznie z rewizją ustawy miejskiej, może przyczynić się do polepszenia podstaw finansowych zarządów miejskich i sanacji warunków życia miejskiego.

W drugim punkcie jest mowa o tem, iż urzeczywistnienie tego programu przy obecnych warunkach napotyka poważne przeszkody, wskutek zupełnego zastojtu twórczości prawodawczej, dezorganizacji władzy i osobliwych stosunków pomiędzy władzą centralną a organami samorządu.

Wreszcie, trzeci punkt przenosi całkowicie sprawę na grunt ogólnopolityczny, opiewając, iż dalsza zwłoka lub też uchylene się od urzeczywistnienia reform na zasadzie Manifestu 17 października — grozi krajowi ciężkimi wstrząśnieniami i najfatalniejszymi skutkami.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę charakter polityczny zjazdu, którego skrajną lewicą była umiarkowana grupa kadetów, a kolosalna większość składała się z październikowców, rezolucja powyższa, jako odbicie nastrojów najszerszych kół społeczeństwa rosyjskiego, tem większą posiadać musi doniosłość.

— Kara prasowa.

Wydawnictwo „Tygodnika Polskiego“, na mocy postanowienia warszawskiego generał-gubernatora, zostało skazane na zapłacenie kary w kwocie 300 rb. za wydrukowanie w № 35 notatki p. t. „Zwrot w opinji“ w sprawie sieci szkolnej.

## Książki nadesłane do redakcji.

**Pamiętniki Jakóba Gieysztorza** z lat 1857—1865, poprzedzone wspomnieniami osobistymi prof. Tadeusza Korzona oraz opatrzone przedmową i przypisami. T. I. i II. Biblioteka pamiętników. Wilno 1913.

**Konstancja Skirmuntt (Futurus). Kartki krajowe** w dalszym ciągu kartek politycznych. II. Reminiscencje z prasy wileńskiej 1906—13. Wilno 1913.

**J. Elzenberg-Złasnowska. Juljusz Słowacki.** Sceny z życia poety w pięciu aktach, jedenastu odsłonach z prologiem. Warszawa 1914.

**E. T. A. Hoffmann. Powieści fantastyczne.** Słowo wstępne i układ A. Langego. T. I i II. Muzy. Biblioteka literacko-artystyczna pod redakcją Jana Lorentowicza. Warszawa.

**Miguel de Cervantes. Nowele przykładowe.** Tłumaczył z hiszpańskiego i słowem wstępnem opatrzył Zdzisław Milner. T. I i II. Muzy. Biblioteka literacko-artystyczna. Warszawa.

**Polska w roku 1811 i 1813.** Wspomnienia dyplomaty Edwarda Bignona. Biblioteka pamiętników. Wilno 1913.

## Sprostowanie.

W № 35—37 w artykule „Wzgląd nieznanym“ w wierszu 12-tym od góry czytać należy; „z poszczególnymi o b j a w a m i antysemityzmu“.

## Treść numeru.

Godzina próby — L. A.

Na mylnej drodze — J. S.

O inteligencji polskiej — Wi — ski

Uniwersytety a wolne szkoły w Galicji — J. Krz.

Muzy Weimaru — St. Posner.

Litwa z przed stu lat — B. Kalinowski.

i L. Janowski.

Nad Naroczem — Jan Ody i Hero.

Na marginesie — Behra.

Opowieść o „Kryjakach“ — B. Zahorski.

Nec plus ultra.

Kronika.

Odcinek: „Józef Korzeniowski“ — T. Dąbrowski.



# BIURO PARCELACYJNE i LEŚNE

SPECJALISTY LEŚNIKA

**Józefa Łastowskiego** (byłego p. o. Członka Banku Włościańskiego)

Wilno, просп. Ś-to Jerski, dom № 43, m. 5. — Telefon 14-69.

**Parcelacja, likwidacja**

majątków ziemskich z udziałem Banków Ziemskich i Włościańskiego.

Szacowanie majątków przy ich kupnie i sprzedaży.


**Urządzenie gospodarstw leśnych**

szacowanie lasów oraz wykonywanie innych robót w zakres leśnictwa wchodzących.

Informacje od godz. 12 do 1 i od 5 do 6 wieczór.

# KONCERTY

## Wileńskiej Orkiestry Symfonicznej

w SALI MIEJSKIEJ.

W pierwszych dniach października otwarcie sezonu zimowego.

**Orkiestra z 50 osób.**

 Dyrygenci: **A. Wyleżyński,**  
**K. Wout.**

W kasie koncert. Wileńskiej orkiestry symfonicznej można zamawiać abonamenty i bilety na koncerty poza abonamentem. Posiadacze abonamentów korzystają z 10% ustępstwa na koncerty nadzwyczajne i koncerty po za abonamentem, o czym będą specjalne zawiadomienia. Kasa otwarta od godziny 11—2 i od 5—7. Ulica Wielka, w magazynie nut „Filharmonja“.

W październiku koncerty odbędą się w dniach: 5, 6, 11, 12, 14, 18, 22 i 30.

## Śpieszcie nabywać działki ziemi w Zwierzyńcu.

Do sprzedania pozostała szczupła ilość gruntu. ——— Obszar parceli według życzenia nabywców.

CEUY NIZKIE. :—: WARUNKI DOGODNE.

Są w niewielkiej ilości parcele przy rzece. Po informacje należy zwracać się do Biura sprzedaży parceli w Zwierzyńcu

**Wilno, „Zwierzyniec“.**
**Prospekt Ś-to Jerski d. № 68. Haase.** (drugi dom od mostu Zwierzynieckiego). Telef. № 46.